3
1961

Jedność

PISMO RELIGIJNO-SPOŁECZNE

W NUMERZE m. in.

- Człowiek istotą dobrą? — **Emil Brunner**
- Śladami Apostoła przez Azję Mniejszą — **Ks. dr E. Jelinek**
- Przed przystąpieniem do Stołu Pańskiego — **Ks. B. Tranda**
- Jedność a nie zjednoczenie — **Ks. R. Trenkler**
- U kolebki państwowości polskiej — **J. Konar**
- Dążenia ekumeniczne w Polsce w. XVI, XVII i XVIII — — **Dr O Bartel**
- Wspomnienie o Lwie Tołstoju — **J. Oksza**

POŚWIĘCONE SPRAWOM EWANGELICYZMU POLSKIEGO I EKUMENII

Oczy całego świata zwrócone są na Kongo. Widocznej na zdjęciu rodzinie kongijskiej i tysiącom innych potrzeba wolności i pokoju.

ANGLIKANIE A SUKCESJA APOSTOLSKA

Biskup Stephen Charles Neill, który 20 lat był misjonarzem w Indiach i w dużej mierze przyczynił się do powstania Południowo-Indyjskiego Kościoła, przemawiał w Norymberdze o pozycji Kościoła Anglikańskiego w Ekumenii. Biskup Neill zwrócił uwagę na ekumeniczne nastawienie Kościoła Anglikańskiego od czasów Reformacji i na jego gotowość włączenia się do większej społeczności. Może to jednak nastąpić pod dwoma warunkami, a mianowicie, że ta nowa społeczność kościelna przejmie — jak się wyraził — niezbywalne wartości anglikanizmu. Do tych wartości zalicza on sukcesję apostolską, która gwarantuje kontynuację życia Kościoła od czasów apostolskich oraz ustrój episkopalny.

Kościół Anglikański utrzymuje ograniczoną interkomunię tylko z tymi Kościołami, które zachowały sukcesję apostolską, a więc z indyjskim Kościołem św. Tomasza i Kościołem Starokatolickim. Ograniczona interkomunia istnieje również pomiędzy Anglikańskim Kościołem a Luterańskim Kościołem w Szwecji, który również zachował sukcesję apostolską.

KOŚCIÓŁ A ŚLUB KSIĘŻNICZKI ASTRID

Dnia 12 stycznia br. odbył się w kościele w Asker ślub córki króla norweskiego księżniczki Astrid z kupcem J. M. Fernerem. Ze względu na to, że narzeczony księżniczki był rozwiedzionym, fakt ślubu poprzedzony był dość żywą dyskusją, prowadzoną przez prasę norweską.

Ogłoszone przez króla Olafa zaręczyny księżniczki przyjęte zostały w kołach kościelnych, a także w opinii publicznej z mieszanymi uczuciami. Ukazująca się w Oslo gazeta „Vart Land" mówiła o pierwszym w historii Norwegii naruszeniu idealnych stosunków pomiędzy domem panującym a narodem norweskim. Niezależne pismo „Morgen-posten" stwierdziło, że król, przez zarządzenie ślubu kościelnego, zajął publicznie stanowisko w sprawie, która przez naród jest kwestionowana a przez większość duchownych Kościoła luterańskiego potępiana.

Ślub rozwiedzionych jest w Kościele norweskim dozwolony, ale poszczególnemu duchownemu jest pozostawiona decyzja, jak w danym wypadku ma postąpić. Większość duchowieństwa i biskupów jest zdania, że dawanie ślubu rozwiedzionemu nie da się pogodzić z sumieniem. Biskup diecezji stołecznej, Johannes Smemo oświadczył wobec prasy, że gdyby król do niego się zwrócił o udzieleniu ślubu księżniczce Astrid, byłby zmuszony udzielić odpowiedzi odmownej. Ostatecznie ślubu udzielił emerytowany biskup z Trondjem Fjellbu, który w tych sprawach zawsze miał podejście liberalne.

DO RZYMU CZY DO CHRYSTUSA?

Ewangelicki biskup krajowy Bawarii Dr Dietzelbinger wygłosił odczyt pt. „Jeden Kościół a Reformacja", w którym się rozprawił z doktryną katolicyzmu. Stwierdził on, że Reformacja Lutra nigdy nie utraciła charakteru ekumenicznego. Największym kościelno-historycznym wydarzeniem czasów współczesnych jest to, że na bazie ruchu ekumenicznego współpracują dziś Kościoły protestanckie z prawosławnym. Rzymski katolicyzm nie zauważa, że — według Lutra — i Kościół może się mylić.

Zapowiedź „soboru powszechnego" wzbudziła w świecie katolickim wielkie nadzieje. Dla protestantyzmu stało się teraz jasne, że dla Rzymu „ekumeniczny" oznacza „rzymsko-katolicki". Rzym na wiele rzeczy patrzy dziś innymi oczyma niż przed 450 laty, a nawet gotów byłby do kompromisu w sprawach liturgii i zwyczajów kościelnych, jednak w sprawach dogmatycznych wydaje się być nieustępliwy. Biskup Dietzelbinger podkreślił z naciskiem, że decydującym nie jest jedność, lecz prawda przed Bogiem i Chrystusem. „Nie może być mowy o powrocie do Rzymu, lecz jedynie o nawrocie nas wszystkich do Chrystusa".

W kilku wierszach

— Królowa angielska Elżbieta II, będąca nominalnie głową Kościoła Anglikańskiego, zamianowała na miejsce ustępującego dr Fishera nowym prymasem Dr Ramsay'a, dotychczasowego arcybiskupa Yorku.

*

— Według statystyki Watykanu liczba chrześcijan na całym świecie wynosi ok. 950 milionów, z czego mniej więcej połowa należy do Kościoła rzymsko-katolickiego.

*

— Władze republiki Haiti wydaliły z kraju arcybiskupa Port-au-Prince ks. Poirier oraz jego sufragana Ks. Remy Augustin. Opieczętowano również pismo katolickie „La Phalange". Wiadomość ta wywołała wielkie zaniepokojenie w Kurii rzymskiej.

*

— Na 13 mil. mieszkańców Republiki Kongo jest 4,5 mil. katolików i 2 mil. protestantów.

*

— W Kongresie amerykańskim na 537 senatorów i reprezentantów zasiada 422 protestantów (79%), 98 katolików (18%), 13 Żydów (2%) i 4 osoby innych wyznań (1%).

*

— Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych Kennedy wypowiedział się przeciwko dotowaniu szkół wyznaniowych przez Państwo. Na tym tle doszło do ostrego starcia pomiędzy prezydentem a kardynałem Spellmanem. Protestanckie kościoły dotacji państwowych nie żądają.

*

— W Izraelu zamieszkuje według ostatnich danych statystycznych 52 000 chrześcijan, w tym 2000 ewangelików, reszta należy do Kościoła prawosławnego i rzymsko-katolickiego.

*

— Na zaproszenie Kościoła Ewangelicko-Reformowanego wyjechał Ks. Superintendent Jan Niewieczerzał do Szwajcarii, gdzie wygłosi w różnych ośrodkach szereg prelekcji o życiu kościelnym w Polsce.

Jednota
MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY
POŚWIĘCONY SPRAWOM EWANGELICYZMU POLSKIEGO I EKUMENII

ROK V (XIX) NR 3

WARSZAWA 1961 r. MARZEC

EMIL BRUNNER

CZŁOWIEK ISTOTĄ DOBRA? —

Ukrzyżowanie (sztych Dürera 1508)

Kto pytanie to czyta, powie zapewne: jakżeż można tak pytać? Ludzie są przecież różni. Są dobrzy i źli, są całkiem źli i mniej źli, zupełnie dobrzy i mniej dobrzy. I to też jest słuszne. Praktyka daje raz po raz dowody na to. Są ludzie zupełnie egoistyczni, o nic się nie pytający, tylko o własną korzyść, szakale w interesie, tyrani w domu, których na nic nie namówisz, chyba że wietrzą w tym własną korzyść.

A są też inni, którzy często w ujmujący sposób się poświęcają, oddają, zawsze o innych myślący, pragnący tylko służyć i dobrze czynić drugim. Kto nie widzi tej różnicy, jest ślepy na rzeczywistość. Pomiędzy tymi dwoma punktami: dobrzy i źli ludzie, jest tak wiele przejść, jak między czerwienią i błękitem tęczy. I trzeba będzie chyba powiedzieć: nikt nie jest tylko zły, — gdzieś tam znajdziesz u niego i coś dobrego, jak u tego szkaradnego chińskiego przywódcy bandytów, który tysiące potrafił zamordować, a potym jak niewinne dziecko bawił się serdecznie z dziećmi. I trzeba będzie chyba powiedzieć: nikt nie jest całkiem dobry, — gdzieś tam znajdziesz u niego i coś złego, kiedy trzeba będzie powiedzieć: w tym miejscu zawodzi. Ale najwięcej ludzi znajduje się w stanie pośrednim, trochę więcej po stronie dobrego, albo trochę więcej po stronie złego, jak wypadnie.

To całe rozważanie ma swoje usprawiedliwienie, ba, jest nawet konieczne. Lecz Biblia mówi inaczej. **„Nie ma, ktoby dobrze czynił, nie ma ani jednego". „Oni wszyscy są grzesznikami".** Tam, gdzie Paweł o tym mówi, nie ma to oznaczać: także najlepsi mają gdzieś małą plamę. To **„wszyscy"** znaczy: w gruncie rzeczy sytuacja wszystkich jest jednaka, mianowicie zła. Albowiem **„grzesznik"** nie ma oznaczać: jest coś zgniłego na nim, tak jak wspaniałe jabłko posiada mały zgniły punkcik, który końcem nożyka może być wydłubany, tak, że po tym nie zobaczysz nawet śladu. Nie, w Biblii **„grzesznik"** oznacza: zgniły w samym jądrze, a od jądra cały zarażony zgnilizną. **„Wszyscy grzesznikami"** nie oznacza więc: naturalnie, i najlepsi nie są zupełnie świętymi, lecz ma oznaczać: różnica pomiędzy tzw. dobrymi i tzw. złymi w ogóle tu nie wchodzi w rachubę.

Ale jak pasuje to do tego, co my najpierw jako słuszne określiliśmy? Nie trudno to powiedzieć. Najpierw mówiliśmy o tym, co między nami ludźmi coś znaczy; a tu znaczenie jest po prostu ludzkie. Przed Bogiem zaś sprawa inaczej się przedstawia. Nie jakoby Bóg nie widział różnicy pomiędzy dobrymi a złymi. Jakżeby mógł ten, który wszystko widzi, tego nie zauważyć! I nie tak, jakoby ta różnica była Bogu obojętna. Przeciwnie. Jemu nie jest nawet obojętne, czy uczeń przy pisaniu trud sobie zadaje, czy też gryzmoli. Jakżeż by miał być obojętnym w stosunku do tego, czy ktoś do kategorii dobrych czy złych należy! O tym, że

Bóg nie jest na to obojętny, mówi Biblia zupełnie wyraźnie. Lecz z tym „wszyscy grzesznikami" nie ma to nic wspólnego. Pozwólcie, że wyjaśnię wam to na przykładzie.

Gdy dwóch ludzi razem wsiadło do pociągu, jeden robi może coś rozsądnego, a drugi coś głupiego. Lecz podniósłszy oczy, obaj stwierdzają, że wsiedli do fałszywego pociągu obaj, i że jadą w odwrotnym kierunku. To ma na myśli Biblia, gdy mówi: grzech. Całkowicie opaczny kierunek naszego życia, mianowicie kierunek — od Boga. W tym pociągu siedzą ni mniej ni więcej, lecz wszyscy ludzie, powiada apostoł. A on sam, będący jednym z najbardziej nienagannych, według ludzkiego sądu niemal święty, mówi o sobie szczególnie wyraźnie: **Biedny ja człowiek, zło którego nie chcę, to czynię, lecz dobro, które chcę, tego nie czynię.**

Upraszczając sprawę, chcemy raz zamiast o wszystkich mówić tylko o tobie i o mnie. Ze swej strony znajduję zupełnie w porządku to, co apostoł o sobie mówi. Jak ci się wydaje? Czy masz ochotę sprzeciwić się apostołowi i powiedzieć: Kochany człowiecze, ja ciebie nie rozumiem, zawiodłem się na tobie! Przynajmniej ja nie jestem nędznym człowiekiem, pragnącym dobra a czyniącym zło. Czy możesz to powiedzieć — i to nie przed ludźmi, lecz przed Bogiem twoim?

Grzech jest zepsuciem, które nas wszystkich opanowało. Więcej, zasadniczą przewrotnością, od Boga oddalającą, wiarołomnością w stosunku do Stwórcy, który tyle nam dał i tak wiernym nam pozostaje, haniebnym odwróceniem się od niego, co my wszyscy, wszyscy bez wyjątku praktykowaliśmy. Mówię wyraźnie: praktykowaliśmy. Czyż nie jest tak: tu wydaje się, jako byśmy byli wszyscy razem złączeni podziemnymi korzeniami, jak sadzonki truskawek, które wyrosły z pędów jednego pnia. My wszyscy jesteśmy w naszych korzeniach życiowych nie tylko **razem** złączeni, ale **ze złem** połączeni. Przez nas przechodzi jak gdyby sok grzechu. A jednak tak sprawa się przedstawia, że każdy wie: **to moja wina.** Mogę to wytłumaczyć, jak mi się podoba, dziedzicznością, złym wychowaniem, które otrzymałem itd., ale w końcu i tak jestem winien. Wiem, że jestem ze złem innych związany, ale jednocześnie ja sam włączam ich w moje zło. I jak tylko pamięcią sięgnę, miałem przed Bogiem zawsze nieczyste sumienie. A mimo to wiem, właśnie gdy o Bogu myślę: to moja wina. Tego nie można wytłumaczyć. Właśnie zło i grzech jest tym, czego wytłumaczyć nie można. Gdyby się to dało wytłumaczyć, nie byłoby prawdziwym złem.

Czy istotnie tak jest? Skąd właśnie o tym wiemy? Nie wszyscy to wiedzą. Większość wie tylko to, o czym przed tym mówiliśmy, że są dobrzy i źli, i wtedy większość zalicza się do dobrych, albo przynajmniej do tych lepszych. Tymczasem to, co o grzechu wiemy, nie wiemy z samych siebie. To spostrzegamy dopiero, gdy Bóg swoje światło, niby oślepiające światło reflektora, puści w naszą nocną ciemność. Co jest grzechem, wiemy dopiero od czasu, **gdy Jezus Chrystus umarł za grzechy ludzi.** Z tym jest tak jak z wielkim głazem, leżącym na drodze. Myśli się: on nie jest zbyt duży, chcę go na bok odrzucić. Ale to nie idzie; jest za ciężki. Sprowadza się mocnego człowieka: i dla niego jest za ciężki. Po tym konia; także usunąć go nie może, a jeżeli już, to z bardzo wielkim wysiłkiem. Według wysiłku i mocy, jakiej potrzeba, widzimy dopiero, jak ciężkim jest ten głaz. I tak jest z grzechem. Dopiero tam, gdzie widzimy, co Boga kosztowało usunięcie głazu, leżącego pomiędzy nim a nami, spostrzegamy, jak wielkim on był: **głaz grzechu.** Dopiero przez Jezusa spostrzegamy, że cały pociąg życia pędzi w odwrotnym kierunku. Dopiero on, w którym Bóg najpoważniej z nami przemawia, pokazuje nam, jaka jest nasza sytuacja. Tam dopiero tracimy odwagę do wypowiedzenia słów: człowiek jest dobry. I dopiero wtedy jesteśmy dojrzali do usłyszenia poselstwa odpuszczenia i zbawienia.

Tłum. X. R. T.

A ukląkłszy, modlił się, mówiąc: Ojcze! jeśli chcesz, oddal ten kielich ode mnie; wszakże nie moja wola, lecz twoja wola niechaj się stanie. A ukazał mu się Anioł z nieba i umacniał go."

Łuk. 22, 41—43

V. Śladami apostoła przez Azję Mniejszą

Ks. Dr Emil Jelinek

Półwysep Azji Mniejszej, który dziś tworzy integralną część terytorium Turcji, był widownią wielu wypadków dziejów pierwotnego Kościoła. Tu właśnie był cały szereg zborów, które założył apostoł Paweł podczas swych wypraw misyjnych, a które odegrały znaczną rolę w dziejach chrześcijaństwa. Między innymi na terenie zborów małoazjatyckich odbyły się pierwsze sobory powszechne w Nicei, w Efezie i w Chalcedonie. Poprzez Azję Mniejszą przewaliła się niejedna zawierucha wojenna, która zniweczyła wiele pamiątek, a fanatyzm religijny wyznawców Mahometa dokonał reszty, obracając kwitnący niegdyś kraj w pustynię i zgliszcza. Wszystko, co przypominało jakąkolwiek przeszłość chrześcijańską tego kraju, musiało zniknąć z oczu wyznawców Koranu. To też dziś tylko z wielkim trudem odnajdujemy ślady kwitnącej kultury i życia prachrześcijańskich zborów.

Chrześcijaństwo Azji Mniejszej jest nierozerwalnie związane z imieniem apostoła Pawła, który w trzech wyprawach misyjnych zorganizował w różnych punktach Azji Mniejszej szereg zborów, a właściwie „kościołów" czy ośrodków misyjnych. Objawienie św. Jana wymienia siedem takich zborów: Efez, Smyrna, Pergamon, Tyjatyra, Sardes, Filadelfia i Laodycea. Dziś jednakże z wielkim trudem znajdziemy zaledwie ich ślady, i to w dodatku jeszcze nie wszystkich.

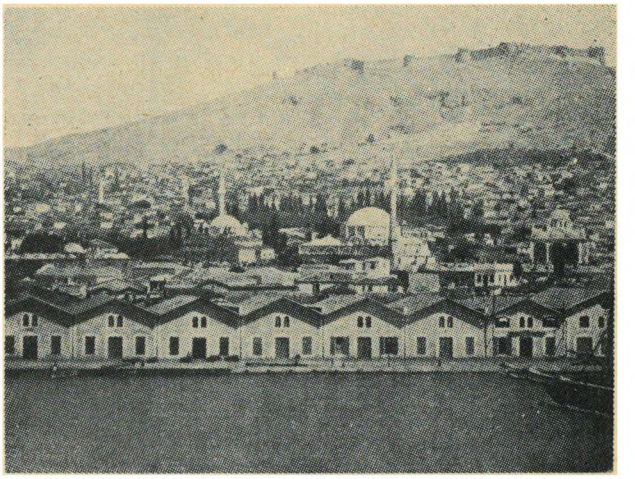

Ogólny widok Smyrny

Punktem wyjścia wypraw misyjnych apostoła była Antiochia Syryjska, w przeszłości duże miasto, poważnie co do wielkości i znaczenia rywalizujące z Aleksandrią. Chrześcijaństwo

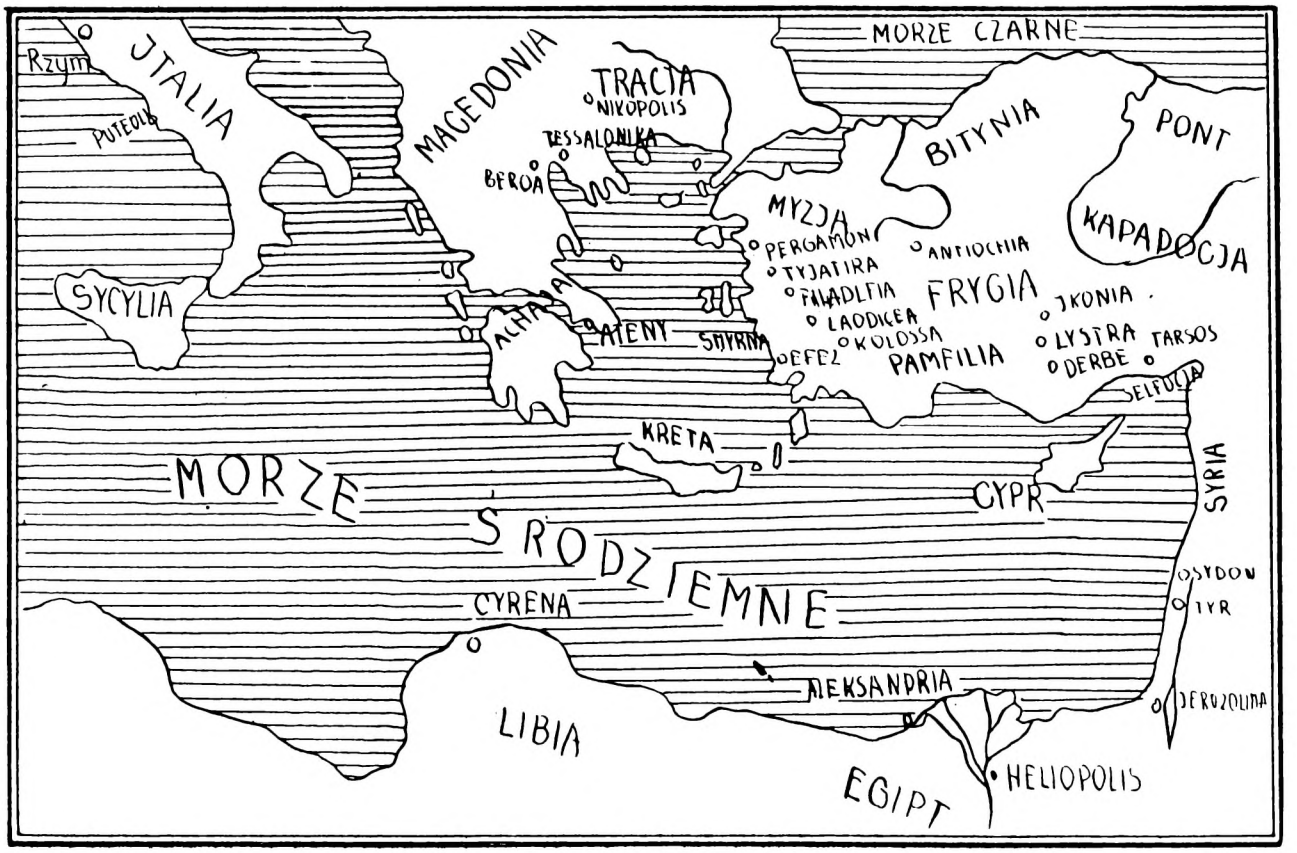

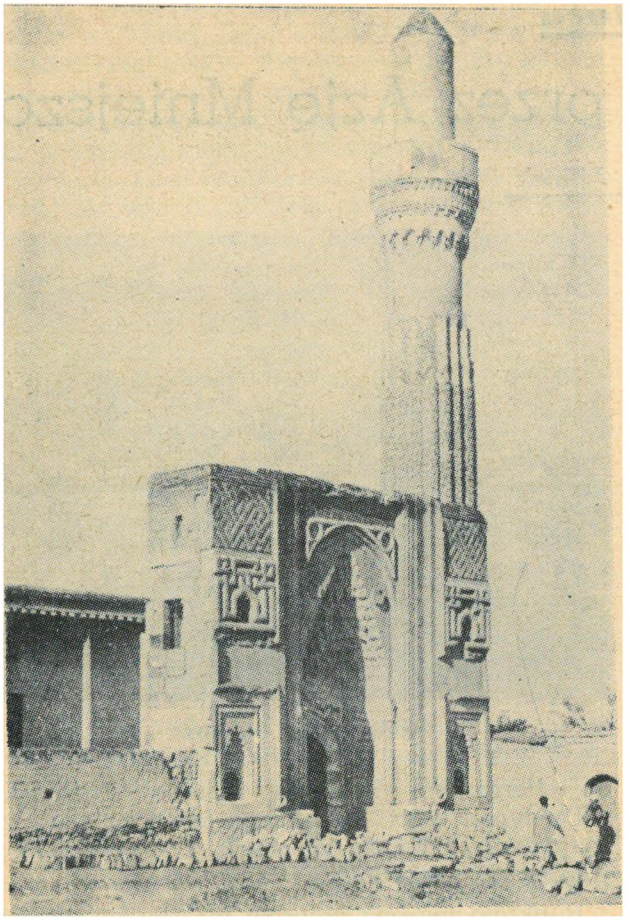

Meczet w Ikonii (Konia)

dotarło tu wraz z uciekinierami, kiedy po śmierci diakona Szczepana, pierwszego męczennika chrześcijańskiego, rozpętało się w Jerozolimie prześladowanie wyznawców Chrystusa. W Antiochii też po raz pierwszy nadano im wzgardliwe wyzwisko chrystusowców (Christianoi), chrześcijan, które — jak to się nieraz w dziejach zdarzało — stało się z biegiem czasu mianem zaszczytnym. Zbór antiocheński musiał widocznie przodować innym, skoro w latach 252—380 odbyło się w nim aż dziesięć doniosłch w historii chrześcijan soborów. Tu również urodził się ojciec Kościoła i wielki kaznodzieja Jan, nazwany dla swej wymowy Złotoustym (Chrysostomos).

Wyprawy misyjne podjęte drogą morską rozpoczynał apostoł z Seleucji, portu zaledwie 15 km oddalonego od Antiochii a złączonego z nią rzeką Orontes. Na wyprawy drogą lądową chodził apostoł zapewne po drogach wojskowych, którymi poprzecinana była cała Azja Mniejsza. Zbudowane one były przez Rzymian dla celów strategicznych w pierwszym rzędzie wzdłuż morskich wybrzeży, ale prowadziły również i do najdalszych zakątków wewątrz kraju poprzez przełęcze górskiego łańcucha Taurus. Jedną z takich przełęczy jest „brama cylicyjska", wiodąca z rodzinnej apostoła Pawła Cylicji do Galacji. Tędy niewątpliwie kroczył wielki apostoł w czasie swej drugiej i trzeciej wyprawy misyjnej, i na niejednym kamieniu, po którym depczemy, spoczęła jego noga. Oczywiście, że od tych czasów wiele się tu zmieniło. Tylko resztki rzymskiego wodociągu wskazują miejsce, na którym ongi stało kwitnące miasto Antiochia Pizydyjska (Dz 13,14). Obywatele jego, szczególnie poganie, przyjmowali wieść apostolską bardzo chętnie i radośnie (Dz 13, 42, 48). Stąd udaje się apostoł do Ikonii, w której również z wielkim powodzeniem głosi Ewangelię (Dz 14, 1), chociaż zostaje ofiarą motłochu, podjudzonego przez Żydów (Dz 14, 5). Dziś nie znajdziemy tu najmniejszego śladu chrześcijaństwa: stara Ikonia a dzisiejsza Konya jest miejscem pielgrzymek machometańskich. Pełno w niej meczetów, z których meczet Selima jest bodaj najładniejszy w całej Turcji. Obok niego stoi klasztor „tańczących derwiszów".

Największym w czasach apostolskich miastem Azji Mniejszej był Efez, liczący około 100 tysięcy mieszkańców. Dziś tylko ruiny mówią o sławnej przeszłości obecnej małej mieściny. Nie dziw, że miasto to na czas dłuższy stało się terenem misyjnej działalności apostoła; później przebywał w nim uczeń Pawła, Tymoteusz. Tu też doszło do wielkiej demonstracji antypawłowskiej. Było to miasto pielgrzymek. Wielkie zastępy pielgrzymów ściągała do miasta słynna świątynia Diany. Posążki bogini i jej świątyni cieszyły się wśród pielgrzymów ogromnym popytem a ich sprzedaż była dla wytwórców dewocjonalii źródłem wielkich zysków i bogactwa. Ponieważ działalność apostoła Pawła silnie podważyła zyskowny proceder, nienawiść miejskiego patrycjatu potrafiła pod płaszczykiem obrazy uczuć religijnych wywołać gniew sfanatyzowanego tłumu przeciwko prorokom nowej wiary. „I było pełno po wszyskim mieście zamieszania, i wpadli jednomyślnie na plac, porwawszy Gaja i Arystarcha, Macedończyków, podróżne towarzysze Pawłowe" (Dz 19, 29). Owym „placem" był w gruncie rzeczy afmiteatr, którego ruiny po dziś leżą na zboczu pagórka. Dochowała się przede wszystkim scena amfiteatru, z której mądry i przezorny pisarz miejski uspokajał wzburzone tłumy (Dz 19, 35—40). Wspaniała świątynia Diany została jednakże całkowicie zniszczona, tak iż dziś nawet nie wiemy, na którym stała miejscu. Na podstawie różnych świadectw możemy sobie tylko wyobrazić jej okazałość: długa była 133 m, szeroka 69 m, a wspierała się na 120 kolumnach 19 metrowej wysokości.

Słynna była w Efezie również biblioteka Celsusa, ale nie oszczędził jej fanatyzm mahometan, który wyładował się w pierwszym rzędzie na bogatych jej zbiorach. Powód tego wandalizmu był nader prosty: jeżeli w tych księgach jest to samo, co w Koranie, to są one zbyteczne, jeżeli zaś zawierają co innego, to są szkodliwe, a więc tak czy inaczej zasługują tylko na zniszczenie!

Stara tradycja głosi, że w Efezie rozwijał szeroką działalność również apostoł Jan i to aż

do zesłania na wyspę Patmos, na której miał napisać swoją Apokalipsę. W V w. ku uczczeniu jego pamięci w pobliżu cytadeli została wzniesiona kaplica, którą później cesarz Justynian przebudował w wielką bazylikę o sześciu ogromnych kopułach. Śladu z niej nie pozostało: na jej miejscu rozciąga się obecnie sad.

O wyjątkowej pozycji zboru efezkiego w Kościele świadczy fakt, że tu właśnie odbyły się dwa sobory w r. 431 i w r. 448 w kościele Panny Marii, z którego dziś pozostały tylko ruiny. W pobliżu tej świątyni odkryto prastare baptisterium, wielki murowany basen, do którego chrzczeńcy zstępowali po kamiennych schodach.

Niedaleko od Efezu leżał znany w starożytności Milet, ojczyzna starożytnych filozofów greckich. Dziś, podobnie jak większość miast z tych czasów, jest to tylko gromada gruzów, spośród których wznoszą się resztki olbrzymiego o 25 tysiącach miejsc amfiteatru. W Milecie żegnał się z prezbiterami tamtejszego zboru Paweł snać w przewidywaniu, że widzi się z nimi po raz ostatni (Dz 20, 17—38).

Ze znanych z czasów apostolskich miast przetrwało do naszych czasów tylko jedyne — Smyrna, a zawdzięcza to chyba tylko swemu szczęśliwemu położeniu w cichej zatoce, w której dziś jest dość ważny port. Nowoczesne wybrzeże portowe zdobi pomnik Kemala Atatürka, twórcy nowoczesnej Turcji. Wspaniałą szosą przybrzeżną docieramy do prastarego miasta, które pod nazwą Bayrakli znane już było przed 5000 lat. Księga Objawienia (2, 8—11) wydaje o chrześcijanach smyrneńskich jak najlepsze świadectwo. „Ucisk dziesięciodniowy" (2, 10), o którym mówi, wielu badaczy tłumaczy jako prześladowanie, które miało trwać przez cały czas panowania cesarza Trajana (98—117).

Jednym ze wspomnianych w Objawieniu siedmiu zborów był zbór w Pergamonie (Ob 2, 12—17). Sytuacja chrześcijan w tym mieście musiała być szczególnie ciężka. Kwitł tu pogański kult bogini miłości, Afrodyty, a przebogaty ceremoniał ku jej czci był odprawiany we wspaniałej świątyni, zbudowanej w IV w. przed n. e. Dziś z tej świątyni miłości pozostało zaledwie kilka kolumn. Fronton jej wywieźli Niemcy do muzeum berlińskiego. Tam również przenieśli olbrzymi ołtarz Zeusa, zdobiący niegdyś starożytny Pergamon. W mieście tym cesarz Trajan wzniósł ponadto świątynię ku czci rzymskich cezarów. Nie dziw, że Apokalipsa (2, 9) nazywa Pergamon „bóżnicą szatana". Tak przynajmniej musiało to miasto wyglądać w oczach ówczesnego chrześcijanina. Podobnie jak w innych zhellenizowanych miastach małoazjatyckich był tu amfiteatr o 15 tysiącach miejsc. W czasach przedchrześcijańskich miasto słynęło ze wspaniałej i olbrzymiej biblioteki; było w niej podobno aż 200 tysięcy zwojów. Później biblioteka pergamońska została przeniesiona do również słynnej biblioteki w Aleksandrii, znacznie zwiększając swymi zbiorami jej bogactwa. Kiedy Aleksandria dostała się do rąk mahometan, jej wspaniała biblioteka została zniszczona w myśl wyżej wspomnianej zasady.

Miasto Pergamon stało się sławne i znane z innego powodu. Kiedy faraonowie egipscy wydali zakaz wywozu papirusu do Syrii, bibliotekarze pergamońscy wpadli na pomysł wyrabiania materiału piśmiennego ze skór zwierzęcych i nazwali go ku czci swego miasta pergaminem. Był to materiał znacznie lepszy, a co ważniejsza o wiele trwalszy niż papirus. Ponadto miasto słynęło ze źródeł leczniczych i z łaźni, których woda najwidoczniej była radioaktywna. Dla wygody kuracjuszy zbudowano na terenie łaźni nie tylko specjalne kąpieliska, ale dla ich przyjemności wzniesiono kolumny, teatr a nawet specjalną świątynię, poświęconą ku czci Eskulapa, patrona lekarzy. Wszelkie urządzenia kąpielowe umieszczone były właściwie w podziemiach tej świątyni. Chorych obkładano błotem (co i dziś jeszcze robimy), kazano im biegać w koszuli wokół świątyni i sypiać w piwnicach, do których wstępowało się tunelem 80 m długim. Starożytna medycyna zbyt jednak nie ufała tym zabiegom, polegając raczej na różnych sztuczkach, jak np. wywoływaniu u chorych szoku nerwowego z pomocą pojawiania się najrozmaitszych straszydeł.

Z kolei odwiedzimy jeszcze jedno miasto, o którym mówi Apokalipsa: Sardes. W swej przedługiej historii wiele razy zmieniało ono swych władców. Dziś jednakże nie ma tu absolutnie niczego, co by świadczyło o sławnej je-

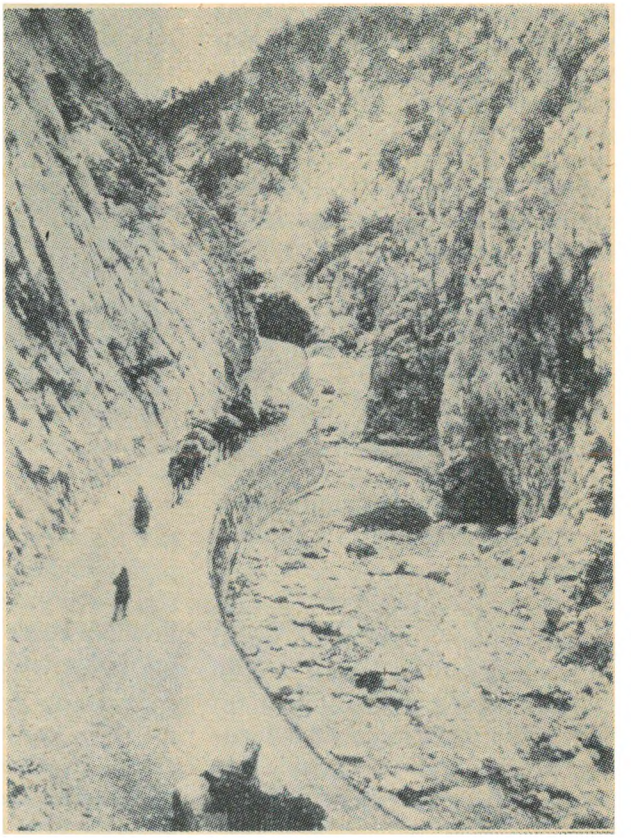

Brama Cylicyjska

go przeszłości. Chyba tylko ruiny wielkiej i sławnej niegdyś świątyni Artemidy. W najbliższym jej sąsiedztwie w IV w. była zbudowana świątynia chrześcijańska, po której również nie pozostało śladu, podobnie jak z pozostałych miast, o których mówi Apokalipsa. Nie wiemy nawet, gdzie dokładnie należałoby szukać Tyatyry, Filadelfii i Laodycei.

Niemym świadkiem chrześcijańskiej przeszłości Azji Mniejszej jest godna podziwu „Dolina tysiąca klasztorów", rozciągająca się w centrum półwyspu. Jest to skalna pustynia, usiana niezliczonymi skałami najprzedziwniejszych kształtów. Jest w nich mnóstwo naturalnych i sztucznych jaskiń, w których w dawnej przeszłości mieszkali ludzie. Ścienne malowidła o motywach biblijnych dowodzą, że w czasie prześladowań chrześcijan małoazjatyckich, wyznawcy Chrystusa szukali tu schronienia, a z czasem, kiedy i dla nich zaświtała jutrzenka swobody usadowili się tutaj chrześcijańscy pustelnicy i mnisi, którzy jaskinie poszerzyli jeszcze i połączyli mnóstwem tuneli i korytarzy, tworząc tak całe miasto skalne. Nie brakło w nim kaplic, ba nawet i okazałych świątyń. Dziś to przedziwne miasto jest przedmiotem usilnych badań naukowych.

Widok wszystkich tych miejsc, niegdyś tętniących ruchliwym życiem i szczycących się wysoką kulturą, a dziś pustych i martwych, nasuwa pytanie, jak się to mogło stać. Fanatyzm mahometan i ich barbarzyńskie poczynania tłumaczą wiele, ale nie one dokonały dzieła ostatecznej zagłady życia chrześcijańskiego. Zawiniła w pierwszym rzędzie obojętność wyznawców Chrystusa. Pod adresem zboru w Laodycei autor Apokalipsy napisał: „To mówi Amen, świadek on wierny i prawdziwy, początek stworzenia Bożego: Znam uczynki twoje, żeś nie jest ani zimny, ani gorący: bodajżeś był zimny albo gorący! A tak, ponieważeś letni, ani zimny, ani gorący, wypluję cię, z ust swoich. Mówisz: Jestem bogaty i zbogaciłem się a niczego nie potrzebuję, a nie wiesz, żeś biedny i mizerny, ubogi, ślepy i nagi" (Ob 3, 14—17). Nie mielibyśmy tych słów i my wziąść sobie do serca?

PRZED PRZYSTĄPIENIEM DO STOŁU PANSKIEGO

Ks. Bogdan Tranda

Wzywanie imienia Bożego jest powszechnie przyjętym zwyczajem religijnym, mającym zresztą swe biblijne uzasadnienie w takich wersetach, jak na przykład „Wzywaj mnie w duchu niedoli, wybawię cię, a ty mnie uwielbisz" (Ps. 50 : 15), albo „Każdy, kto będzie wzywał imienia Pańskiego, zbawiony będzie" (Dz. Ap. 2 : 21). W zestawieniu z III (II) Przykazaniem nabiera to specjalnego znaczenia. W krótkości możnaby powiedzieć, że nie każde wzywanie imienia Bożego osiąga swój cel. Wręcz przeciwnie, w pewnych okolicznościach wzywanie jego może się obrócić przeciwko wzywającemu (por. Amos 5 : 14—20). Nadużywanie imienia Bożego mści się na tym, który to czyni.

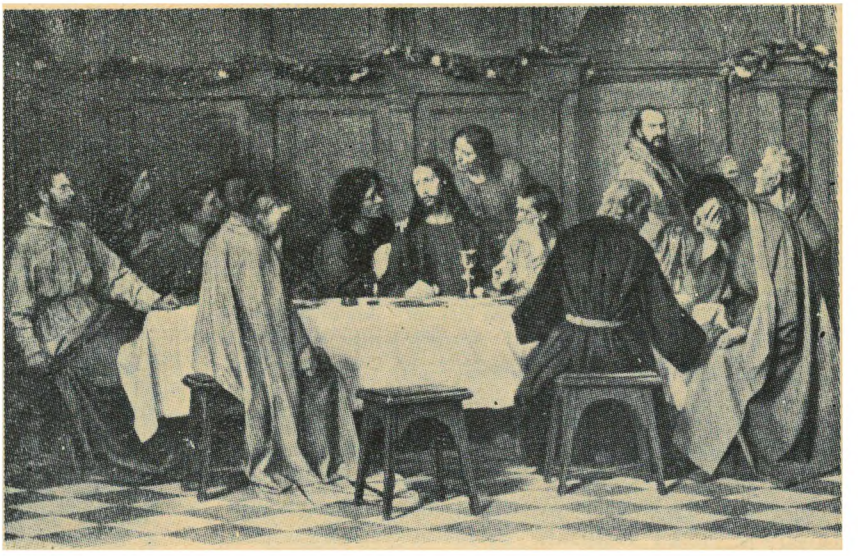

Ostatnia Wieczerza (E. Gebhardt)

Jezus powiada „Wy jesteście solą ziemi", mając na myśli tych, co poszli za Nim i z Nim związali swoje życie. Jak z tego wynika, związanie się z Jezusem pociąga pewne skutki. Kto się na to zdecyduje, nabiera pewnego znaczenia wobec otaczającego świata, a tego znaczenia nie da się traktować lekkomyślnie. Musi ono w jakiś sposób się wyrazić, w przeciwnym bowiem razie sól zwietrzała bywa podeptana.

Podobne znaczenie ma fragment, o krzewie winnym, przy czym zupełnie niedwuznacznie określa on zależność ucznia od Jezusa. Bez Niego nic uczynić nie można. Ale i tkwiąc w Nim można być latorośla płoną. Wtedy ogrodnik ją odcina, a uschła staje się pastwą ognia.

Chrześcijaństwo nie jest religią, którą bezkarnie można lekko traktować. „Bóg się nie da z siebie naśmiewać". Tymczasem w praktyce najczęściej tak się właśnie dzieje i w konsekwencji, jak sól zwietrzała, bywa deptane i jak gałąź uschła — płonie.

Często słyszy się dzisiaj i jest w tym pewna doza racji, że chrześcijaństwo nie spełniło swej roli; niektórzy posuwają się dalej, twierdząc, że jest ideą przestarzałą, nie mającą nic do powiedzenia współczesnemu człowiekowi. Przekonanie takie o tyle nie jest pozbawione cech słuszności, że istotnie chrześcijanie w swojej masie nie spełniali, lub obecnie nie spełniają swego powołania. Wypływa to właśnie z niepoważnego podchodzenia do spraw wiary. Beztroska ta wyraża się w traktowaniu jej (zwykle zresztą zupełnie nieświadomie, bez żadnej złej woli) albo jako tradycyjny relikt chwalebnej przeszłości, albo jako pogląd na życie i jego inaczej niewytłumaczalne tajemnice, albo zgoła jako pewną postawę polityczną. W rezultacie są oni ani zimni, ani gorący, a dla letnich nie ma miejsca w Królestwie Bożym (Obj. 3 : 15—16). Wspomniane wyżej przekonanie można uznać za słuszne tylko do pewnego stopnia, o tyle, o ile chodzi o tych „letnich" chrześcijan, których zresztą jest znakomita większość. Wielu z nich jest zupełnie pewnych, że bardzo poważnie traktują swe przekonania, tylko... nie czynią tego w ewangelicznym duchu, co prowadziło kiedyś do tak antyewangelicznych wydarzeń, jak religijne prześladowania, a i dziś jest przyczyną eksterminacji inaczej wierzących. Czy to jest ewangeliczne chrześcijaństwo? Nie ma innego znamienia, po którym możnaby poznać ducha Chrystusowego, jak tylko miłość (Jan 13 : 35). Ani mówienie językami, ani prorokowanie ani znajomość tajemnic, ani nawet wiara, do szczytu doskonałości doprowadzona, ani filantropia, ani wyrafinowana asceza (por. I Kor. 13:1-3), nie mają żadnego istotnego znaczenia, chociaż bez powodu są uznawane za znamiona chrześcijańskiej postawy. Jedyne bowiem i decydujące znaczenie ma tylko MIŁOŚĆ. Ona nadaje sens tamtemu wszystkiemu tak, jak nadaje sens życiu w ogóle.

Czy chrześcijaństwo ewangeliczne jest przeżytkiem? — „Niezmiernie skomplikowanych problemów moralnych, istniejących w społeczeństwie, nie można rozstrzygnąć za pomocą dekalogu i jego uzupełnienia w postaci Ewangelii, podającej normy wcale nie jednoznaczne, a nieraz zupełnie niezrozumiałe dla człowieka współczesnego" („Radar" Nr 6/1959, T. Kocowski „Kodeksy i autorytety"). Tak może mówić i pisać tylko ktoś, kto zupełnie nie wie o czym mówi, kto w Ewangelii widzi tylko „kodeks moralny" i w dodatku zupełnie jej nie zna, bo w przeciwnym przypadku nie mógłby czegoś takiego napisać. A Ewangelia jest wartością współczesną i to nie tylko moralną. Trzeba jednak chcieć, umieć i móc ją odczytać.

Z przytoczonych czterech cytat biblijnych o pewnych wspólnych cechach pominięto dotychczas czwartą, aby do niej teraz powrócić i uwypuklić jej znaczenie na tle poprzednich trzech.

Ośrodkiem biblijnego zwiastowania Starego i Nowego Testamentu jest osoba Jezusa, który jest rozumiany jako Pośrednik, jednający Człowieka z Bogiem. W Nim uosabia się, zamierzone przez Boga, dzieło zbawienia. On jest zwiastunem Bożej miłości, tę miłość sobą wyraża i na każdym kroku realizuje w słowie i w czynie. Uczy o Bogu i na czym polega prawdziwa wierność dla Niego. Umiera na krzyżu, zmartwychwstaje i zasiada po prawicy Bożej. Największym punktem tego ewangelicznego dzieła zbawienia jest śmierć Pośrednika na krzyżu. Odpowiednio więc ewangeliczne zwiastowanie o zbawieniu zawiera te wszystkie czynniki, przy czym najwyższym jego punktem będzie słowo o krzyżu, przez samego Jezusa ujęte w sakramencie Wieczerzy Pańskiej.

Skoro mówiliśmy, że chrześcijaństwo jako takie nie da się lekko traktować, o ileż bardziej dotyczy to samego jądra chrześcijańskiego zwiastowania, jakim jest Wieczerza Pańska. Niegodne pożywanie Sakramentu apostoł Paweł kwalifikuje jako winę za śmierć Pana, a tym samym, jako sprowadzenie na siebie wyroku. Czy można zbliżać się do Stołu Pańskiego dla tradycji, dla filozoficznego poglądu, bez głębokiego przeżycia czegoś, co dzieje się wewnątrz? Wszak jest to branie udziału w śmierci Pana; a przy śmierci Pana można być obecnym tylko w dwojakim charakterze: winowajcy, albo uczestnika łaski.

Czymże jest więc godne przyjmowanie Sakramentu? Post? Rachunek sumienia? Spowiedź? A może trzeba wiedzieć, czy sakrament działa sam przez się, czy też tylko przez wiarę przyjmującego; czy jest rzeczywistym ciałem i krwią Pana, czy też tylko ich wyobrażeniem? Na ogół właśnie w tym sensie bywa rozumiane godne przystępowanie do Stołu Pańskiego. W tym też sensie ciało i krew Pana stało się kamieniem zgorszenia, jako linia rozdziału pomiędzy „uczniami Pana".

„Ilekroć byście jedli... i pili... śmierć Pańską opowiadajcie". Nie ma przeto godnego pożywania sakramentu bez istotnego, wewnętrznego pojednania, bez duchowej jedności pomiędzy braćmi, bo ofiara na krzyżu jest aktem miłości. „Zostaw dar swój przed ołtarzem i odejdź; pierwej się pojednaj z bratem swoim..." (Mat. 5:23—24). Niechaj Wieczerza będzie znakiem KOMUNII, prawdziwej, świętej pomiędzy wyznawcami Pana, współuczestnikami Jego Ciała (I Kor. 10:16—17).

Godne pożywanie to nie tylko duchowa jedność braci. Śmierć Jezusa zaszła z powodu grzechu. Dzięki swej ofierze stał się On Pośrednikiem i Zbawicielem, a jako taki stanowi ośrodek Objawienia Bożego. Dlatego muszę doń się zbliżać jako grzesznik, oderwany od Boga i potrzebujący pojednania z Nim. I przez swą śmierć pokazuje Jezus nasze braterstwo, polegające na wspólnocie grzechu, którym jednakowo obciążeni, jednakowo potrzebujemy odpuszczenia i pojednania.

Dlatego, skoro przed nami wspólna Wieczerza Pańska, musi ona być wspólnym przeżywaniem śmierci Pańskiej, przyjmowaniem Łaski. W tym przeżyciu mieści się cała godność postawy uczestnika. TAJEMNICA TO WIELKA.

Ks. Ryszard Trenkler

„Jedność a nie zjednoczenie"

(Na marginesie wizyty arcyb. Dr. Fishera u papieża)

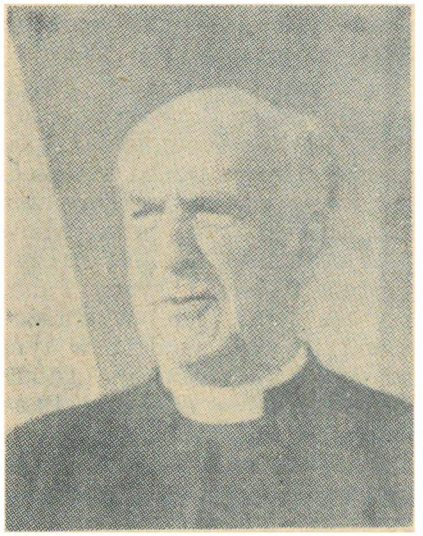

Arcyb. Dr Fisher

Od czasu głośnej konwersji anglikańskiego profesora John Henry Newmana na katolicyzm w r. 1845, uhonorowanego następnie przez papieża kapeluszem kardynalskim, Kościół Katolicki nigdy nie stracił nadziei na przywrócenie swego panowania na wyspach brytyjskich. Kościół Anglikański tym więcej usprawiedliwiał do takich nadziei, gdyż nigdy nie zerwał z ustrojem episkopalnym, przy czym zawsze podkreślał swoją sukcesję apostolską (nota bene przez Rzym kwestionowaną) a w formach kultowych był chyba najbliższy rzymskiemu katolicyzmowi.

W nauce natomiast pozostał zawsze wierny fudamentalnym zasadom protestanckim, będąc pod tym względem bardziej radykalnym niż np. luteranizm. Konwersja Newmana nie pociągnęła za sobą spodziewanej masowej fali konwersji, a wzrost katolicyzmu angielskiego (ok. 5 milionów) dziś tłumaczy się raczej przyrostem naturalnym, wyższym u katolików niż u protestantów i przybyciem sporej rzeszy katolickich emigrantów głównie z Irlandii, a podczas wojny także z Europy wschodniej, m. in. z Polski.

Mimo to propaganda katolicka, ta oficjalna i szeptana, od lat głosi, że powrót anglikanizmu do Rzymu jest tylko kwestią czasu. Przypominam sobie dobrze, jak to przed 30 laty prefekt gimnazjum, do którego uczęszczałem, chcąc mnie, przypadkowo obecnego na religii katolickiej, uświadomić, już wtedy mówił, że Kościół Anglikański właściwie już się oddaje pod jurysdykcję papieża.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że w Kościele Anglikańskim są jakgdyby dwa Kościoły. Jeden wysokokościelny (High Church) i niskokościelny (Low Church). I jest prawdą, że ten pierwszy jest katolicyzujący, drugi zaś podkreśla w kulcie tendencje czysto protestanckie (skromność form). Co do zasadniczej nauki oba nurty są właściwie zgodne. Otóż właśnie Kościół Katolicki największe nadzieje łączy z ruchem wysokokościelnym. Nadzieje te nie są w pełni uzasadnione, gdyż zupełnie co innego są katolicyzujące formy kultowe a zupełnie co innego pragnienie połączenia się z Rzymem. Gdyby to pragnienie było aż tak silne, jak to się głosi ze strony katolickiej, nic nie stałoby na przeszkodzie dla zrealizowania tych pragnień. Podobne ruchy wysokokościelne znane są również i w innych krajach i w innych Kościołach, ale nie są one bynajmniej jednoznaczne z chęcią podporządkowania się Rzymowi.

Jak wiadomo, złożona w grudniu ub. roku przez głowę Kościoła Anglikańskiego arcybiskupa Canterbury Dr Fishera wizyta w Watykanie u papieża Jana XXIII obudziła w kołach rzymsko-katolickich nowe nadzieje a w kołach protestanckich, przyznajmy szczerze, pewne zaniepokojenie. Sam fakt wizyty głowy Kościoła Anglikańskiego u papieża musiał siłą rzeczy wywołać poruszenie. Od czasu bowiem oderwania się od Rzymu przed 400 laty podobnych kontaktów z Rzymem nie było.

Znane jest powszechnie nastawienie Jana XXIII do sprawy jedności Kościołów i wiadomo również, że poza Kościołem Prawosławnym Kościół Anglikański najłatwiej ze wszystkich Kościołów protestanckich mógłby znaleźć furtkę do Rzymu. Czy istotnie tego pragnie? Czy arcybiskup Canterbury w tym celu złożył wizytę u papieża?

Z opublikowanych komunikatów zresztą bardzo skąpych, wynika, że papież pragnął

Jan XXIII

początkowo nadać tej wizycie jak najbardziej kordialny i oficjalny charakter, ale zapewne z powodu bardzo powściągliwych oświadczeń Dr Fishera, poniechano tego szybko. Przyjeżdżającego do Rzymu arcybiskupa nie powitała na dworcu żadna delegacja watykańska. Zaś arcybiskup, przed udaniem się na audiencję, odprawił w kościele anglikańskim Wszystkich Świętych w Rzymie uroczyste nabożeństwo, przy czym w kazaniu ustosunkował się do zagadnień stosunków międzykościelnych. Oświadczył on m. in. iż wierzy w „konieczność jedności w sensie ścisłej współpra-

cy na polu praktycznym, między różnymi Kościołami, które korzeniami swymi tkwią w Chrystusie". „Mówię świadomie — oświadczył — o jedności a nie o zjednoczeniu, gdyż zjednoczenie postuluje pojednanie w sferze jurysdykcji i autorytetu... jedność zaś może być w duchu..."

Sama wizyta miała charakter jaknajbardziej prywatny i wyłącznie kurtuazyjny. Obu osobistościom towarzyszył jedynie arcybiskup Samore w charakterze tłumacza. Sprawy zjednoczenia Kościołów w ogóle nie poruszano. Opierając się na lakonicznych komunikatach obu stron, można wnioskować, że cała rozmowa była jedynie wymianą grzecznościowych słów. Po wizycie arcybiskup Fisher powiedział, że „nigdy nie było zamiarem moim nawiązanie rozmów na jakieś szczególne problemy lub zagadnienia, zaś rozmowa miała przez cały czas charakter kurtuazyjny". Krótka wizyta u kardynała Bea utrzymana była w tym samym tonie.

Nie od rzeczy będzie, jeżeli wspomnę, że przed wizytą w Watykanie, arcybiskup odbył podróż na Bliski Wschód, gdzie szczególnie w Jerozolimie był uroczyście witany przez najwyższych dostojników różnych Kościołów, nie wyłączając rzymsko-katolickiego. Z Jerozolimy udał się do Istambułu, gdzie rezyduje duchowa głowa Kościoła Prawosławnego patryjarcha Athenagoras I. Wizyta u patryjarchy trwała 2 dni i choć nie ujawniono wszystkich szczegółów tej rozmowy, śmiało można powiedzieć, że była ona z pewnością ważniejsza i owocniejsza od rozmowy z papieżem.

Kościół Anglikański bowiem łączą najlepsze stosunki z Prawosławnym i jak się wydaje obaj dostojnicy kościelni omówili sprawę bardziej obiecującą, przynajmniej na najbliższą przyszłość, jaką jest współpraca ekumeniczna protestantyzmu z prawosławiem, która to współpraca jest przysłowiową solą w oku dla Watykanu. I w tym zbliżeniu Kościołów wschodnich z protestantyzmem, na płaszczyźnie Światowej Rady Ekumenicznej, leży przyczyna tego, że Rzym z taką gorliwością podniósł publicznie zagadnienie jedności kościelnej. Inicjatywa jedności całkiem widocznie wymknęła się z rąk Watykanu do rąk Ekumeny. Arcyb. Fisher i patryjarcha Athenagoras przedyskutowali, jak głosił komunikat, możliwość konfederacji wszystkich Kościołów chrześcijańskich, łącznie z Rzymem.

W odniesieniu do projektowanego II soboru watykańskiego Athenagoras I oświadczył, iż gotów jest dla osiągnięcia jedności całego chrześcijaństwa udać się gdziekolwiek, nawet do Rzymu, jednakże pod warunkiem, że będzie traktowany jako „równouprawniony". A to jest ważkie słowo. Ono było przecież głównym powodem schizmy. Wyrzeczenie się tego równouprawnienia byłoby przekreśleniem 19-to wiecznej tradycji wschodniego Kościoła, byłoby pójściem do Canossy.

Warto jeszcze podkreślić, że arcyb. Canterbury w pełnym stroju liturgicznym, z mitrą na głowie, wziął udział w uroczystym nabożeństwie, celebrowanym przez patryjarchę Athenagorasa I, przy czym arcybiskup zajął miejsce na tronie.

Wizyta arcybiskupa u papieża tak zupełnie bez znaczenia nie jest. Wygląda na to, że Rzym zaczyna sobie uświadamiać, że wzgarda, okazywana dotąd Kościołom i wiernym akatolickim chyba najbardziej dyskredytuje katolicyzm jako religię w ogóle a chrześcijańską w szczególności.

Jeżeli wizyta Fishera w Watykanie oznacza zerwanie z tą niesławną tradycją, to jest to duży krok naprzód wprawdzie jeszcze nie do zjednoczenia ale do jedności w duchu miłości chrystusowej.

Jan Konar

U KOLEBKI PAŃSTWOWOŚCI POLSKIEJ

Nie znając jeszcze wyników badań archeologicznych (jakkolwiek w tym czasie donosiła już o nich prasa codzienna) w czerwcowym numerze Jednoty" z r.ub. w artykule o cyrylometodyzmie wysunąłem tezę, że rok 963, który historiografia polska przyjmuje za pierwszą historyczną datę dziejów Polski, podobnie jak rok 966 jako data chrztu Mieszka I, pierwszego historycznego księcia polskiego, są raczej kwestią umowy, niż wyrazem rzeczywistości historycznej, albowiem państwo polskie istniało w takiej czy w innej formie już przed rokiem 963, a chrześcijaństwo przedostawało się na jego teren jeszcze przed rokiem 966. Jeszcze przed kilku miesiącami może trudno byłoby mi udowodnić tę tezę, dziś natomiast potwierdzają ją w całej rozciągłości wyniki ostatnich badań archeologicznych.

W okresie przygotowań do obchodów Tysiąclecia prace archeologów nad zbadaniem epoki powstania państwowości polskiej budzą zrozumiałe zainteresowanie. Ponieważ z tego okresu zachowało się niewiele dokumentów pisanych, trzeba było sięgnąć do niezawodnego i najbardziej wiarygodnego źródła, jakim jest ziemia. W r.b. mija 25 lat od historycznego odkrycia prasłowiańskiej osady w Biskupinie. Odkrycie to stanowiło przełom a zarazem i początek nowego okresu badań wykopaliskowych, które dotąd prowadzone były tylko sporadycznie. Nie mniej jednak z powodu działań wojennych i trudności powojennych systematyczne badania archeologiczne nad początkami państwa polskiego trwają dopiero od 10 lat. Za to rozmach ich jest wspaniały. Świadczy o nim fakt, że sam tylko Instytut Historii Kultury

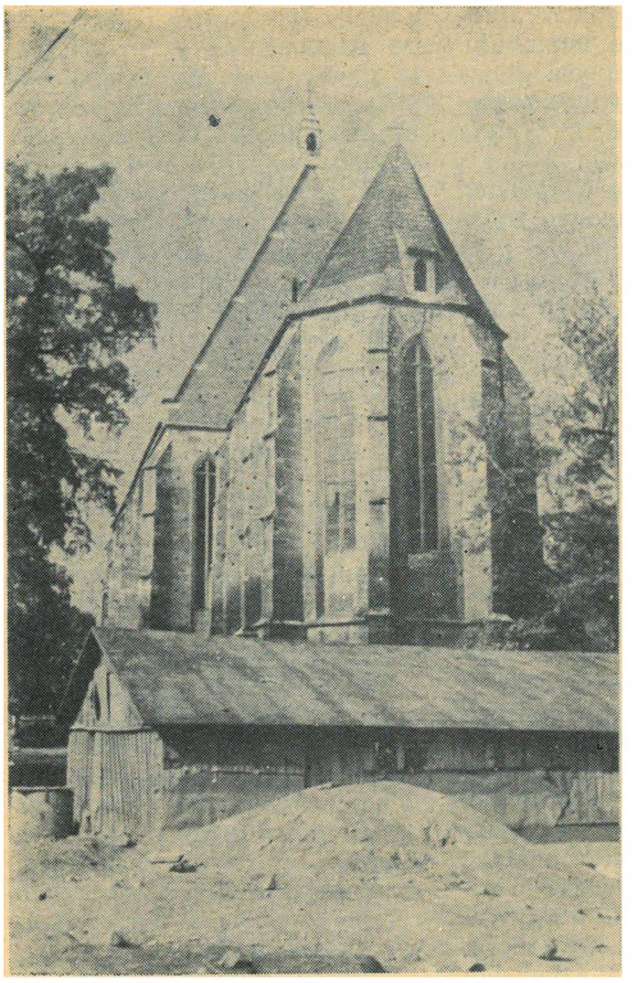

Kolegiata w Wiślicy

Materialnej prowadzi wykopaliska na 37 miejscach, a bierze w nich udział około stu naukowców. Obok wydania opartej na wynikach ostatnich badań „Prehistorii Polski" i monumentalnego dzieła „Historia kultury polskiej", rozpoczęta została w r.ub. seria „Millenium Poloniae — Monumenta Archeologica". Przewiduje się również zorganizowanie w Warszawie Muzeum Archeologicznego.

Z uznaniem trzeba przyznać, że archeologowie dokonali wielu cennych odkryć, poczynając od paleolitu aż po średniowiecze. Szczególnie obfity jest plon prac badawczych okresu przed X wiekiem. Dotychczasowe wyniki tych prac stwierdzają ponad wszelką wątpliwość, że ziemie polskie zaczęły rozwijać się pod względem cywilizacyjnym znacznie wcześniej, niż twierdziła dotąd historia, a osadnictwo miejskie zaczęło się kształtować w Polsce jeszcze w czasach przed kolonizacją niemiecką. Kultura materialna polskich miast w początkach X w. wcale nie była niższa, niż na zachodzie Europy. Już pierwsze powojenne badania wykopaliskowe podważyły legendę o drewnianej Polsce pierwszych Piastów. Odkrycia zaś lat ostatnich rozwiały ją ku zdumieniu historyków zupełnie. Polska piastowska w świetle odkryć archeologicznych ukazała się jako kraj o wysoko rozwiniętej gospodarce i szybko rozwijającej się kulturze, mogącej śmiało rywalizować z wieloma państwami ówczesnej Europy. Plemiona zamieszkujące ziemie polskie utrzymywały ożywione kontakty z imperium rzymskim. Świadczą o tym znalezione na ziemiach polskich liczne monety i przedmioty pochodzenia rzymskiego. Już od I do VI w. Kraków, Wrocław i Kalisz były dużymi osadami, w których najwidoczniej istniały już ośrodki władzy. W Małopolsce i na Śląsku jeszcze na długo przed zjednoczeniem ziem polskich przez Mieszka I powstały pierwsze organizmy polityczne.

Interesujące rezultaty przyniosły badania prowadzone nad osadnictwem przedpiastowskim na terenie Wielkopolski i Pomorza. Odkryte zabytki nie tylko potwierdzają słowiański charakter tych ziem, ale wykazują niezbicie ich wysoki stopień rozwoju gospodarczego i kulturalnego. Dotąd przypuszczano, że np. Kamień, a później Szczecin wyrosły na wielkie ośrodki dopiero na skutek upadku Wolina. Badania ostatnie wskazują, że współcześnie istniało na tym północno-zachodnim pograniczu szereg gospodarczo silnych ośrodków, które w IX i X w. były już wybitnymi centrami miejskimi a żywioł słowiański miał w nich zdecydowaną przewagę.

Szczególnie ważne było dotarcie do legendarnej Kruszwicy, osady datującej się z VI w. Badania przyniosły rezultaty pozwalające na dokładniejszą lokalizację grodu feudalnego, oraz doprowadziły do odsłonięcia cmentarzyska z XII w. związanego z okresem rozkwitu miasta Kruszwicy, które posiadało wówczas około 5000 mieszkańców. W jednym z grobów znaleziono bogatą kolię składającą się z przeszło 400 paciorków głównie szklanych, wyprodukowanych w miejscowej hucie szkła.

Na południowym zachodzie Polski, we Wrocławiu i Ostrowie Tumskim, a wreszcie w Santoku badania przyniosły również bogaty i obfity plon. W Santoku np. natrafiono w pobliżu murowanego budynku na domostwo, w którym obok innych przedmiotów znaleziono rogowe rylce do pisania. Najwidoczniej umiejętność pisania była we wczesnopiastowskiej Polsce zjawiskiem o wiele pospolitszym, aniżeli to sobie dotąd wyobrażaliśmy.

Badania archeologiczne na terenie Lubelszczyzny i Małopolski przyniosły taką sumę faktów, że pozwalają w zgoła nowy sposób spojrzeć na zagadnienie tworzenia się na ziemiach polskich najstarszych organizmów państwowych. Okazuje się, że w Polsce południowej był żywy i samorodny nurt życia gospodarczego, na którego bazie mogło dojść do utworzenia szczególnie silnego organizmu państwowego Wiślan, posiadającego podobną pozycję, co współczesne mu, o wiele lepiej już poznane, państwo wielkomorawskie. O poziomie kultury artystycznej państwa Wiślan zaczynają nam mówić pomniki architektury kamiennej, wśród których wybijają się sakralne elementy Wiślicy, gdzie ekipa archeologiczna prof. Dr. Włodzimierza Antoniewicza z Uniwersytetu Warszawskiego stwierdziła istnienie grodu w X —

XI w., ufortyfikowanego grubymi wałami drewniano-ziemnymi. Gród ten został zajęty i spalony przez Rusinów i Węgrów. Z początkiem XII w. odbudowano go i otoczono potężnym murem kamiennym. Niebawem stał się ponownie pastwą najazdu Tatarów. W XIII w. naprawiono mury, wzmocniono je szkarpami drewnianymi od strony koryta Nidy. Gród jednak już nie na długo podźwignął się z upadku.

Gród wiślicki wznosił się na oddzielnej wyspie w dolinie Nidy. Na pobliskiej drugiej wyspie leżało miasto Wiślica, ongiś znaczny ośrodek handlu na szlaku kupieckim, biegnącym z Kijowa przez Sutiejsk, o którym wspomina stary Nestor, Zawichost do Krakowa i Pragi. Szlak ten był czynny już od IX w. Prawdopodobnie duże jego znaczenie handlowe i strategiczne było jednym z celów ekspansji państwa wielkomorawskiego na obszary ziemi Wiślan z końcem IX w. Plemienne państwo Wiślan miało wówczas władcę, o którym jest wzmianka w tzw. Legendzie Pannońskiej czyli Żywocie św. Metodego. Czytamy w niej: „Pogański książę, bardzo potężny, siedząc w Wiśle, urągał chrześcijanom i szkody im wyrządzał. Posławszy więc do niego, kazał mu (Metody) powiedzieć: Dobrze byłoby, synu, abyś się dał ochrzcić dobrowolnie na swojej ziemi, bo inaczej będziesz w niewolę wzięty i zmuszony przyjąć chrzest na ziemi cudzej. Wspomnisz moje słowo! — Tak się też stało".

W roku 1958 na ulicy Batalionów Chłopskich w Wiślicy pod brukiem z XIV w. znalazły się nieźle zachowane fundamenty małego kościółka kamiennego, dającego się datować na pierwszą połowę X w. Bez trudu możemy sobie wyobrazić jego wygląd: prostokątny, o lilipucich wymiarach (3,30 na 4,80 m), składał się z nawy o przypuszczalnej wysokości murów 6 m i absydy; od strony południowej przylegało pomieszczenie grobowe, w którym znaleziono szkielety. Sposób grzebania zmarłych głowami na zachód oraz fakt, że w grobach nie znaleziono żadnych przedmiotów, w które współcześni zwykli zaopatrywać swych pogańskich towarzyszy na ostanią wędrówkę, jest dowodem, że pochowywano tam chrześcijan. Od strony północnej tego kościółka a częściowo pod jego fundamentami jesienią 1959 ujawniły się dobrze zachowane części wielkiej, o 4 m średnicy misy czy basenu, sporządzonego ze sztucznego kamienia o konsystencji niemal betonu. Jest to najwidoczniej baptisterium, chrzcielnica, starsza od samego kościółka. Znaleziona przy niej ceramika sugeruje, że pochodzi z XIII—IV w., jakkolwiek jest zbliżona do odkrytego w podziemiach katedry poznańskiej baptisterium piastowskiego, w którym miał się odbyć chrzest Mieszka I.

Jeśli ta chronologia okaże się ścisła, nie będzie kwestii, że Wiślica, siedziba księcia Wiślan z końca IX w. (a więc na kilkadziesiąt lat przed chrztem Mieszka I w Wielkopolsce w obrządku zachodnim) była już chrześcijańską i to najprawdopodobniej obrządku słowiańskiego. Nie dość tego. Zupełną rewelacją było odkrycie w Wiślicy w podziemiach dawnej kolegiaty gotyckiej, ufundowanej przez Kazimierza Wielkiego. Kopiąc w prawej części nawy, natrafiono na resztki murów dawnego romańskiego kościoła, na którego miejscu stanęła późniejsza gotycka kolegiata. O jej dawnym istnieniu wspominał już Długosz. W głębokości prawie 4 m pod dzisiejszą posadzką kościelną odsłonięto równą płaszczyznę gipsową o powierzchni 3 m² (dokładnie 205 na 255 cm), która stanowiła podłogę dawnej krypty romańskiej. Część tej posadzki pokrywa wspaniały ryt, który pod względem artystycznym można śmiało postawić w rzędzie takich dzieł, jak drzwi katedry gnieźnieńskiej lub kolumny z płaskorzeźbami ze Strzelna. W otoczeniu ozdobnej bordiury, pasów wici roślinnych i medalionów z symbolami czterech ewangelistów, stoi 3-osobowa grupa orantów, tj. modlących się, mężczyzny, kobiety i chłopca, odzianych w powłóczyste szaty. Najprawdopodobniej jest to rodzina książęca, o czym świadczyłby ubiór mężczyzny. Wszystkie linie są inkrustowane czarną masą, uzyskując niebywałą, wyrazistość i plastyczność. Jest to wybitnie dzieło sztuki, dotąd bodaj unikat w Polsce, nieznany w tej technice ani na wschodzie, ani na zachodzie Europy. Nie jest wykluczone, że jest to arcydzieło polskiego artysty.

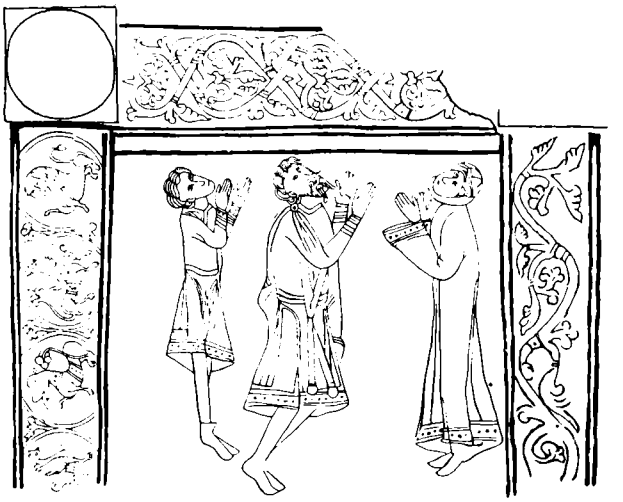

Wiślica. Nowoodkryte ornamenty

Wykopaliska archeologiczne lat ostatnich stwierdzają ponad wszelką wątpliwość, że obie wyżej wspomniane daty historyczne z dziejów Polski są istotnie tylko kwestią umowy i nie mogą ostać się przed wynikami badań archeologicznych. Więcej, stwierdzają, że przed chrztem Mieszka I znacznie wcześniej dał się ochrzcić książe Wiślicki, a Kruszwica ani Gniezno nie są kolebką państwa polskiego. Jest nią Wiślica. Kruszwica zaś jest już wtórnym zjawiskiem, jest niejako wyrazem reakcji obrządku łacińskiego, który za sprawą Mieszka I i czeskiej książniczki Doubrawki wystąpił przeciwko starszemu obrządkowi słowiańskiemu, przenikającemu na południowe ziemie polskie jako bliżej leżące od granic i wpływów państwa wielkomorawskiego, w niemiłosierny sposób niweczące wszelkie jego ślady.

Dr O. Bartel

Dążenia ekumeniczne w Polsce w. XVI, XVII i XVIII

Po wybuchu Reformacji zarysowały się zasadnicze różnice między Kościołem katolickim a obozem Reformacji na tle rozumienia dogmatów chrześcijańskich, stosunku do obrzędowości, ustroju Kościoła, zwłaszcza zaś podstaw wiary: Pismo św. i tradycja, czy tylko Pismo św. Chrześcijańscy humaniści i teolodzy chwycili za pióra i zaczęła się gorąca i namiętna walka. Kościołowi Łacińskiemu groziło rozbicie jedności, odziedziczonej po średniowieczu, a pilnie strzeżonej przez Rzym papieski. Z niebezpieczeństwa jakie zagrażało Społeczności chrześcijańskiej zdawano sobie sprawę.

Kwestia utrzymania jedności świata chrześcijańskiego leżała na sercu wielu wybitnym humanistom i teologom zarówno obozu katolickiego jak i reformacyjnego w. XVI i XVII, od Erazma z Rotterdamu († 1536) aż do G. Calixta († 1656). Luter, Kalwin, Melanchton i inni wybitni działacze reformacyjni, mimo coraz silniej zaznaczających się różnic doktrynalnych między nimi a rzecznikami Kościoła rzymsko-katolickiego, poczuwali się nadal do przynależności do jednego powszechnego Kościoła katolickiego. Jeszcze do r. 1541 odbywały się oficjalne rozmowy na zjazdach przedstawicieli poróżnionych stron, na których szukano kompromisowego załatwienia spornych problemów teologiczno-kościelnych, aby nie dopuścić do nowej schizmy w Kościele chrześcijańskim. Jednak te poważne i uczciwe wysiłki teologów nie doprowadziły do pojednania zwaśnionych obozów religijnych. Nie udała się również próba cesarza Karola V „pogodzenia" walczących obozów przez wydanie, a właściwie narzucenie protestantom Interimu augsburskiego (1548). Wreszcie zwołany został dawno oczekiwany sobór trydencki (1545—1563). Miał on rozstrzygnąć o wszystkich sprawach spornych i przywrócić jedność zachodniemu Kościołowi chrześcijańskiemu. Niestety, pokładane w nim nadzieje nie spełniły się. Decydujące wtedy czynniki katolickie stanęły na stanowisku „nieomylności" doktryny katolickiej, uznały, że „extra ecclesiam Romanam nulla salus". W tym duchu prowadzone obrady i powzięte na soborze uchwały musiały doprowadzić do schizmy. Są opinie, że przyczyną niepowodzeń wszystkich wysiłków pojednawczych była słabość obozu reformacji. Jest w tym pewna doza prawdy. Od r. 1529 w obozie reformacji zarysowały się dwa kierunki ideologiczne, saski i szwajcarski. To musiało osłabić obóz reformacji. Widząc to szermierze obozu katolickiego starali się oczywiście wyzyskać tę sytuację i pogłębić przeciwieństwa, jakie nurtowały obóz nowowierczy. Na zjazdach zajmowali oni coraz bardziej nieustępliwe stanowisko i liczyli po prostu na poddanie się i podporządkowanie się protestantów Kościołowi katolickiemu. Położenie obozu reformacji jeszcze się pogorszyło, kiedy na dobre zaczęła się kontrreformacja. To zmusiło wielu działaczy reformacyjnych do zastanowienia się nad środkami zażegnania grożącego Reformacji niebezpieczeństwa. Dopiero wobec nacierającej reakcji katolickiej obudziła się zdecydowana wola protestantów do obrony swego stanu posiadania.

Aby stawić czoło kontrreformacji, a bronić dorobku ideowego ruchu reformacyjnego, świat protestancki musiał zewrzeć swoje szeregi. Tak narodziły się w nim dążenia irenistyczne i unionistyczne, ale ostatecznym ich celem była: Una Sancta, jak tego dowodzi historia powszechnego ruchu ekumenicznego.

Także w Polsce wieku XVI, XVII i XVIII żywe były dążenia ekumeniczne. Urzeczywistnienia idei ekumenicznej pragnęło wielu Polaków różnych wyznań, zwłaszcza zaś protestanci. Propagowali oni zjednoczenie wszystkich umiarkowanych odłamów reformacyjnych zarówno w kraju jak i na zachodzie. Miał to być pierwszy etap na drodze do ekumenii. Polski obóz protestancki był również rozbity na wiele odmian ideologicznych, był przeto słaby, a kontrreformacja również dawała mu się we znaki. Słuszne więc i rozumne były te dążenia irenistyczne i unionistyczne. Dziś kiedy ruch ekumeniczny zatoczył już szerokie kręgi w świecie chrześcijańskim warto przypomnieć i polskie wysiłki na polu ekumenii.

Pierwszą próbą zespolenia obozu reformacji w Polsce była unia w Koźminku (pod Kaliszem 1555), zawarta między nowowiercami z Małopolski i Wielkopolski, a braćmi czeskimi. Unia ta jednak nie została zrealizowana. Jan Łaski, po swoim powrocie do kraju, grudzień 1556 r., podjął myśl unijną, ale miał na celu pogodzenie i zjednoczenie jedynie umiarkowanych protestantów. Postanowił on dokonać dzieła zjednoczenia na podstawie opracowanej przez siebie *Konfesji polskiej*. Zmierzał on do stworzenia Societas Evangelica. Próba ta ograniczonej ekumenii nie powiodła się. Udało mu się jedynie zespolić kalwinistów Małopolski, Podlasia i Litwy, natomiast oparli się jego planowi luteranie i bracia czescy. Luteranie nie chcieli się zgodzić na unię pod wpływem Wittenbergi, opanowanej wtedy przez gorliwych luteran tzw. gnesioluteran. Bracia czescy zaś niechętnie odnieśli się do koncepcji Łaskiego. Sądzili bowiem, że wejście ich do Societas Evangelica to podporządkowanie się odłamowi kalwińskiemu, według ich zdania miałoby to znaczyć wyrzeczenie się całego swego dorobku ideowego, słowem — sprzeniewierzenie się Janowi Husowi i ruchowi husyckiemu. Nie udało się więc Łaskiemu wcielenie w życie swojej koncepcji, a jednak ona nie zanikła, nadal nurtowała wielu duchownych i laików obozu reformacji, stała się rze-

czywistością w 10 lat po jego śmierci. W roku bowiem 1570 doszła do skutku Zgoda sandomierska (Consensus Sendomiriensis). Trzy wyznania: luteranizm, kalwinizm i bracia czescy połączyły się ze sobą tworząc jedną wspólnotę religijną. Podstawą zjednoczenia tych trzech wyznań stało się Wyznanie sandomierskie, oparte na Confessio Helvetica Posterior (1566), napisanej przez Henryka Bullingera w duchu umiarkowanego kalwinizmu. Konfesja ta miała stać się później ogólnopolską konfesją ewangelicką. Podpisujący Zgodę wzajemnie uznawali naukę przystępujących do unii Kościołów za prawowierną. Strony zachowywały swoją odrębność oraz autonomię w sprawach wewnętrzno-kościelnych, solennie przyrzekały sobie wzajemne poparcie w walce z przeciwnikami. Akt ten, doniosły w historii reformacji polskiej i powszechnego ruchu reformacyjnego, był rezultatem wysiłków wielu protestantów zarówno świeckich jak i duchownych. Inicjatywa zjednoczenia umiarkowanych wyznań protestanckich wyszła od kalwinów małopolskich, samo zawarcie Zgody poprzedziły liczne rozmowy, zjazdy i synody.

Kalwini, przodujący w dziele zjednoczenia, umieli wybrać odpowiedni moment. Wiedzieli, że zjednoczenia obozu protestanckiego życzył sobie król Zygmunt August, który niejednokrotnie upominał protestantów za brak jedności i nawoływał ich do połączenia się. Pracowali nad dojściem do skutku Zgody sandomierskiej czołowi duchowni trzech wyznań: brat czeski Szymon Teofil Turnowski, senior Kościoła ew.-ref. na Kujawach Andrzej Prażmowski z Radziejowa, superintendent Kościoła ew.-augsb. Erazm Gliczner, popierali tę sprawę duchowni kalwińscy: Krzysztof Trecy, Stanisław Sarnicki i Paweł Gilowski.

Ale sam akt Zgody sandomierskiej został urzeczywistniony dzięki stanowczej postawie możnowładców - protestantów. Do tych możnawładców, którzy gorąco sprzyjali unii, mocno ją popierali na synodzie sandomierskim swoją powagą i autorytetem, należeli: Piotr Zborowski, wojewoda sandomierski, Stanisław Myszkowski, wojewoda krakowski i Jan Firlej, wojewoda lubelski. Ci dygnitarze zdawali sobie sprawę z tego, że sytuacja obozu reformacji pogarsza się z dnia na dzień na skutek słabości rozbitego obozu reformacji, zaczynających się, od roku 1560, odstępstw spośród możnowładztwa i szlachty, na skutek niebezpieczeństwa reakcji katolickiej. Jeśli obóz reformacji nie miał zniknąć z powierzchni życia polskiego, to musiał on zewrzeć szeregi i podjąć walkę zwłaszcza z antytrynitarzami i szermierzami kontrreformacji. Nawet ci z antytrynitarzy, którzy rozsadzali Kościół ew.-ref., zdawali sobie sprawę z sytuacji w jakiej znalazł się obóz reformacji i oto umiarkowani antytrynitarze garnęli się do unii. Ale kiedy na synod w Sandomierzu przybył ich wysłannik Aleksander Witrelin w celu pertraktacji co do dopuszczenia antytrynitarzy do Zgody, zebrani protestanci nie chcieli o tym słyszeć. Unia sandomierska miała do pewnego tylko czasu charakter religijny, wkrótce przeistoczyła się w federację o celach już politycznych. Po zjednoczeniu umiarkowanych wyznań przywódcom obozu reformacji musiało się nasunąć nie mniej ważne zadanie do spełnienia, a mianowicie prawne zalegalizowanie różnowierstwa oraz zagwarantowanie mu wolności religii. To zostało osiągnięte w akcie Konfederacji warszawskiej (1573), który jest związany logiką wewnętrzną z aktem Zgody sandomierskiej. W roku 1599 przystąpili do Zgody sandomierskiej na zjeździe w Wilnie reprezentanci Kościoła prawosławnego, już wtedy uciskanego i prześladowanego. Łącząc się z zjednoczonym obozem ewangelickim szukali oni poparcia w walce z unią brzeską (1596), która spowodowała rozbicie Kościoła prawosławnego na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej na unitów i dyzunitów.

Unici oderwali się od macierzy prawosławnej, wiązali się z kościołem rzymsko-katolickim, w papieżu widzieli głowę Kościoła chrześcijańskiego, natomiast dyzunici nadal trwali wiernie przy Kościele prawosławnym. Nie tu miejsce rozwodzić się nad unią brzeską, jednak wolno powiedzieć, że jej zawarcie było krokiem fałszywym ze strony ówczesnych czynników katolickich, które przesadziły w swojej gorliwości religijnej, skoro dało się słyszeć w kołach katolickich: „... pierwej Kościoła i dusz ludzkich bronić, niźli ojczyzny. Jeśli zginie doczesna (ojczyzna), przy wiecznej się ostoim..." (W. Sobieski, Nienawiść wyznaniowa tłumów za rządów Zygmunta III, str. 98). Przeforsowana za sprawą Rzymu unia brzeska była szkodliwą dla polskiej racji stanu, pociągnęła bowiem za sobą osłabienie organizmu politycznego.

Myśl unijna wśród polskiego rozbitego świata protestanckiego znalazła wielu zwolenników, ale byli oni na ogół sympatykami ograniczonej ekumenii. Właściwym ekumenikiem w Polsce wieku XVI był Andrzej Frycz Modrzewski. Wysunął on myśl zjednoczenia katolików, protestantów i prawosławnych. — Zgoda sandomierska znalazła naśladowców na ziemi czeskiej. W roku 1575 połączyli się tam luteranie, kalwiniści i bracia czescy na podstawie „Confessio Bohemica". Znany działacz Kościoła kalwińskiego na Litwie, polityk i moralista Andrzej Wolan wskazywał na Zgodę sandomierską jako na godny naśladowania akt, starał się pogodzić i pojednać kalwinistów oraz luteran litewskich. W tym celu odbył się w Wilnie w roku 1585 zjazd przedstawicieli obu Kościołów, reformowanego i luterskiego, jednak do pojednania nie doszło. Ciekawe i jakże ambitne były dążenia unijne protestantów polskich. Oto próbowali oni przez ewangelickich książąt Rzeszy narzucić niemieckim protestantom ideę zgody i unii. Podczas sejmu w Warszawie (1578) zebrani tu protestanci opracowali trzy odezwy do niemieckiego świata ewangelickiego. Jedno z orędzi wyrażało żal, że świat protestancki Niemiec oraz innych krajów europejskich jest rozbity, wtedy kiedy w Polsce już doszło do pogodzenia, współpracy i zespolenia wszystkich umiarkowa-

nych odłamów protestanckich. W odezwach wyrażali protestanci polscy chęć nawiązania współpracy z protestantami zachodu, a to dla obrony reformacji przed antytrynitarzami i obozem katolickim. Dla zjednoczenia świata protestanckiego zaproponowali zwołanie powszechnego soboru, którego uchwały miały być wiążące dla wszystkich Kościołów ewangelickich Europy.

W oparciu o konsens sandomierski te dążenia ekumeniczne polskich protestantów osiągnęły swój największy rozwój u schyłku wieku XVI.

Gdy polska reformacja zaczyna przeżywać kryzys, dążenia ekumeniczne w obozie reformacji słabną, nigdy jednak nie zamarły, trwały one nadal, — co więcej — o przystąpienie do Zgody sandomierskiej ponownie ubiegali się arianie. Oto po roku 1600 podjęte były rozmowy między antytrynitarzami i przedstawicielami Kościoła ew. — reformowanego (1611, 1612, 1617 i później) — w celu połączenia się, jednak rozmowy te nie dały pozytywnych wyników. W związku z tym głośna była polemika między antytrynitarzami i kalwinistami, a więc między Jakóbem Zaborowskim, Walentym Smalciusem, Faustem Socynem, Danielem Clementinusem, Andrzejem Chrząstowskim i Jonaszem Szlichtinkiem z Bukowca. Z początkiem wieku XVII senior Małopolski ew.—ref. Kościoła, Bartłomiej Bythner wydał dzieło pt. „Exhortatio Fraterna et Modesta..." (I wyd. 1607, II 1618, przekład niemiecki 1634).

Bythner może być uważany za kontynuatora linii rozwojowej idei ekumenicznej od Jana Łaskiego poprzez Zgodę sandomierską. Napisał on swoją pracę pod wpływem listu Dawida Pareusa, prof. teol. w Heidelbergu, unionisty, autora dzieła „Irenicum", um. 1622. Pareus prosił Bythnera by wesprzeć go w jego walce o zjednoczenie kościołów ewangelickich w Niemczech. Podobnie jak Jan Łaski, Bythner był głęboko przekonany, że aby uniknąć gorszących sporów w świecie protestanckim, duchowni ewangeliccy winni w swoich kazaniach unikać niejasnych i dwuznacznych wyrażeń, a zadowalać się prostym słowem Bożym. Bythner wierzył i propagował szlachetną myśl, że droga do Zgody w obozie reformacji prowadzi przez Miłość (Via ad Concordiam — Caritas).

Dla pojednania zwaśnionego obozu reformacyjnego senior proponował zwołanie powszechnego soboru w Niemczech, jednak nie widział możliwości udziału antytrynitarzy w tym synodzie, ponieważ nauka ich absolutnie była nie do przyjęcia przez pozostałe kościoły ewangelickie. W Polsce nie tylko pisano na temat ekumenii, nie tylko dyskutowano, ale częściowo tu i ówdzie realizowano ją. Oto mamy próby zaprowadzenia tzw. simultaneum. W Toruniu kościół św. Jana służył nabożeństwom luterskim i katolickim, w Węgrowie zaś w kościele ewangelicko-reformowanym również luteranie odprawiali swoje nabożeństwa. Gdy w związku z okropnościami wojny trzydziestoletniej znaczna partia luteran przeszła (1628) granicę polsko-niemiecką i szukała sobie azylu w Polsce, wojewoda Rafał Leszczyński, należący do Kościoła braci czeskich, pozwolił uciekinierom osiedlić się w Lesznie. Zgodził się również na pobudowanie przez luteran świątyni, na razie jednak mieli korzystać z Kościoła św. Krzyża, świątyni braci czeskich. Przewidując tarcia i nieporozumienia na tle religijno-kościelnym między luteranami i braćmi czeskimi, wojewoda Leszczyński wydał zarządzenie, którym normował stosunki religijno-kościelne w Lesznie, nawołując do wyrozumiałości i zgodności współżycia braci czeskich z luteranami.

Obraz dążeń irenistycznych i ekumenistycznych w Polsce wieku XVII byłby niepełny, gdybyśmy nie zwrócili uwagi jeszcze na dwa fakty, mianowicie na działalność irenistyczną Szkota Johna Dury (Johannes Duraeus, + 1680) oraz na Rozmowę toruńską z 1645 roku. Bodźca do działalności irenistycznej dali Duraeusowi protestanci polscy. W latach 1625—1630 przebywał on w Elblągu, gdzie był kaznodzieją i duszpasterzem zboru anglikańskiego. Podczas swego pobytu zapoznał się z ekumenicznymi dążeniami protestantów polskich i to dało mu zachętę do pracy irenistycznej i unijnej w świecie protestanckim. W swojej działalności liczył m. in. na ewangelików polskich.

W liście, Amsterdam, 1 luty 1636 r., do Wojciecha Niclasiusa, pastora polskiego Kościoła Św. Piotra i Pawła w Gdańsku, wyłożył Dury swój plan akcji irenistycznej nadmieniając, że przygotował 11 listów do protestantów polskich i przesłał je Samuelowi Hartlibowi do Londynu. Hartlib był to wybitny agronom polski i działacz społeczny poł. w. 1662. Urodził się w Elblągu, 1628 roku przeniósł się do Anglii, gdzie nawiązał stosunki z wybitnymi Anglikami, jak Hobbes, Boyle, Milton, gorąco wspierał irenistyczną działalność Dury'ego oraz swoistą koncepcję unijną Cromwella. Hartlib, po przejrzeniu i uzupełnieniu listów, miał je przesłać Niclasiusowi dla doręczenia adresatom. W tych listach chwalił Dury Zgodę sandomierską, apel polskich zborów ewangelickich oraz ich patronów do Ludwika, palatyna reńskiego, z roku 1578, cieszył się z uzgodnienia liturgii Kościoła ew.-reformowanego oraz braci czeskich na synodzie włodawskim (1634); z największym uznaniem pisze o „Exhortiato Fraterna et Modesta" Bartłomieja Bythnera i nawołuje protestantów polskich do pojednania i trwania przy Zgodzie sandomierskiej. Zwrócił się on również do Jednoty braci czeskich w Lesznie, którą reprezentował wtedy Jan Amos Komeński. W liście podniósł, że moment pojednania jest odpowiedni, ponieważ Bóg dał wam króla toleranta, Władysława IV. Na to gorące wezwanie odpisał zdaje się tylko Andrzej Rey, potomek znakomitego Mikołaja. Rey bawił wtedy (1637) w Londynie jako poseł królewski. Podziękował on za list i ze swej strony prosił Duraeusa o nacisk na Szwecję, a przez nią na Danię oraz miasta hanzeatyckie, by zapewnić pomyślność podjętej sprawy. Rey obiecuje ze swej

strony pomoc i podkreśla użyteczność w sprawie irenistycznej i unionistycznej pracy „Modytacji świętych" Jana Gerhardta, + 1637. Dzięki temu wybitnemu dogmatykowi ortodoksyjna dogmatyka luterańska doznała pewnego złagodzenia, mianowicie przez rozróżnianie w nauce zasad fundamentalnych od niefundamentalnych. — Tą swoją akcją Duraeus w pewnym stopniu przygotował grunt pod Rozmowę charytatywną w Toruniu w 1645 r. Była to próba pogodzenia i pojednania katolików i umiarkowanych protestantów w Polsce. Myśl zwołania przedstawicieli katolickich i protestanckich do Torunia wyszła od exkaznodziei ewangelickiego, wtedy już duchownego rzymsko-katolickiego, sekretarza króla Władysława IV, Bartłomieja Nigrinusa. Oficjalnie wystąpił z inicjatywą odbycia rozmowy między delegatami katolickimi, a ewangelickimi sam król, lecz całą tę sprawę ujął w swoje ręce episkopat katolicki. Powiadomił on o tym papieża i prosił o instrukcję. Kuria rzymska odniosła się nieufnie do odbycia Rozmowy, wreszcie jednak zgodziła się pod warunkiem, że ostateczne decyzje co do prawomocności uchwał należą do niej. Ewangelicy polscy, po naradach w Orly i Lesznie zdecydowali się przyjąć wezwanie króla, do którego mieli całkowite zaufanie, i wziąć udział w Rozmowie. Reformowani wysunęli projekt przedłożenia podczas Rozmowy wspólnego wyznania: dla reformowanych, luteran i braci czeskich. Luteranie byli początkowo skłonni do przyjęcia tej propozycji, lecz pod naciskiem Wittenbergi wycofali się.

28 sierpnia 1645 r. rozpoczęło się Colloquium. Zjechali się do Torunia reprezentanci Kościoła katolickiego, pełnomocnicy luterańscy i reformowani (bracia czescy od r. 1627 byli połączeni z reformowanemi). W rozmowach brali udział duchowni i laicy, przyjechali również deputowani z zagranicy. O pojednaniu się obozu katolickiego i ewangelickiego nie mogło być mowy, gdyż delegaci katoliccy domagali się całkowitego podporządkowania się Kościołowi katolickiemu i przyjęcia jego doktryny. Co gorsza, podczas rozmów toruńskich zaznaczył się jeszcze większy rozdźwięk między reformowanymi a luteranami, tak że „Colloquium charitativum" nie dało żadnych wyników, przeistoczyło się w „Colloquium irritativum". W kilkadziesiąt lat po Rozmowie toruńskiej reformowani i luteranie znów nawiązali ze sobą bliższy kontakt. Z początkiem wieku XVIII (1712 w Toruniu, 1718, 1719 i 1726 w Gdańsku) poczęli odbywać wspólne synody i naradzać się nad losami protestantyzmu w Polsce. Jednak dopiero po uzyskaniu tolerancji religijnej (1768, 1775) protestanci polscy zaczęli współpracować ze sobą, odbywać wspólne i odrębne synody (Leszno — 1775, Siedlce — 1777, Węgrów — 1780 i 1782, Kiejdany — 1778 i 1781), ale do stworzenia Jednego Kościoła Ewangelickiego nie doszło, mimo że myśl ta znalazła gorących zwolenników w światłym mieszczaństwie ewangelickim, napotykała jednak na uparty sprzeciw ze strony szlachty protestanckiej. Toteż do połączenie nie doszło. W wieku XIX bratnie Kościoły, reformowany i luterański, miały przez 20 lat (od 1828) wspólny Konsystorz Generalny, w wieku XX idea ekumeniczna na krótko zaświtała na Zjeździe wileńskim (1936), została urzeczywistniona dopiero w Polsce Ludowej obejmując protestantów, prawosławnych oraz staro-katolików.

Wśród książek

NIEMIEC O POLSCE

Wśród książek zagranicznych autorów o Polsce ukazała się niedawno w języku niemieckim książka Hansa A. de Boera pt. Po drodze na Wschodzie i Zachodzie. Książka zawiera opis podróży, jaką odbył autor, Niemiec - ewangelik z Zachodu, poprzez Niemiecką Republikę Demokratyczną, Polskę, Związek Radziecki, Czechosłowację, Jugosławię, Węgry i z powrotem do Niemiec Zachodnich. Już samo wydanie tej niezwykłej książki w Szwajcarii (EVZ-Verlag, Zürich, Unterwegs in Ost und West), a nie w ojczyźnie autora każe przypuszczać, że Hans A. de Boer, zapatrujący się bardzo krytycznie na politykę NRF, nie znalazł wśród swoich ziomków zrozumienia dla swoich odmiennych poglądów i nie mógł wydać swojej książki u siebie.

Nas jako Polaków interesuje w tej oryginalnej książce przede wszystkim rozdział o Polsce, zwłaszcza pytanie, co Niemiec z Zachodu sądzi o stosunkach polsko- niemieckich w przeszłości i teraźniejszości. Czego chce książka de Boera? Sam autor tak pisze we wstępie: „Po prostu niemożliwe, abyśmy się zasiedzieli w swoim zachodnio - kościelnym ghetcie. Jezus w swoim czasie nie pytał ludzi o to, czy są religijni i czy biorą udział w zebraniach modlitewnych; szedł po prostu do nich i rozmawiał z nimi.

Sądzę, że jako chrześcijanie powinniśmy się też tego trzymać. Szukałem więc spotkań z chrześcijanami i niechrześcijanami Wschodu... Spotkanie jest konieczne". Nieco dalej (str. 20) czytamy: „Pojechałem na Wschód jako świadomy chrześcijanin, to znaczy jako taki, który przeświadczony jest, że ludzie muszą się zmienić. Spotkałem tam marksistów, to znaczy takich, którzy są przeświadczeni, że stosunki muszą się zmienić.

Przytaczam to jako przykład, aby pokazać, że może jednak istnieje powód, abyśmy słuchali wzajemnie siebie. Takie rozmowy mogą nas zaprowadzić dalej, chrześcijanina, by zau-

ważył: muszę się troszczyć o stosunki i zmienić je; komunistę, by zauważył: jeżeli ja się nie zmienię, wszelka poprawa technicznego i gospodarczego rodzaju nie pomoże". „Trzeba rozpocząć u siebie samego... Musimy się nauczyć, nie wypierać swej przeszłości... Dla nas Niemców nie jest łatwe, to, co się działo za Hitlera, przyjąć i uznać za swoją winę. Właśnie my w Niemczech rozwinęliśmy bajeczną zdolność, spuścić na nieprzyjemne lata zasłonę zapomnienia... Co nam to szkodzi, że kluczowe pozycje w Kościele i Państwie znowu obsadzone są przez „nazis" (tj. faszystów)... Ale tak iść nie może. Jeżeli wina nie jest przyznana, niszczy ona podziemne zaufanie partnerów do siebie. Z pewności własnej, z pozycji siły rozmowa między wschodnimi i zachodnimi ludźmi jest bezowocna... Do uczciwości wobec siebie samego zaliczam także jasne uświadomienie sobie, że my zachodni chrześcijanie jesteśmy współwinni, jeżeli Marks musiał pójść swoją drogą bez nas. To, czego chciał, było rzeczą wybitnie moralną: sprawiedliwości. Nie wiedzieliśmy, co z nim począć, tak samo jak z Wichernem, którego dziś każdy chwali".

O swoim stanowisku jako chrześcijanin autor pisze: „Jestem przekonania, że być chrześcijaninem — to dzisiaj znaczy, rozumieć Ewangelię jako zwiastowanie pokoju. Sądzę, że **ruchy pokojowe są formą, w której Ewangelia dziś staje się aktualną.** Sądzę dalej, że demokracja jest tą formą państwa, która najbardziej pozwala człowiekowi być człowiekiem. Sądzę, że to jest największą aktualnością, że mamy dziś ludzi na Zachodzie i na Wschodzie, dla których poważanie i respekt dla innego człowieka są święte... Można by to wszystko jeszcze prościej, ale bardziej teologicznie wyrazić: Wierzę, że Jezus Chrystus umarł i zmartwychwstał dla wszystkich ludzi; także dla tych, którzy nic o Nim wiedzieć nie chcą.

O Polsce jako o kraju w odbudowie pisze autor: „Polska jest inna niż reszta republik ludowych. Warszawa, zburzona w swoim czasie przez nas według ścisłych obliczeń, została z wielką miłością i radością odbudowana. Nie spotyka się budowli w „stylu cukierniczym"... Ludzie mówią o wszystkim otwarcie, krytykują głośno swoje państwo, chociaż wiedzą, że jesteśmy obcokrajowcami... Jeden z dziennikarzy, z którymi rozmawiałem, nienawidził Niemców, dodał jednakże: „Nie wszystkich". Rozumiem tego człowieka, gdyż na niezliczonych miejscach znajdują się w Warszawie tablice pamiątkowe ze stale jednakowym tekstem: „Tu rozstrzelali faszyści niżej podanych bojowników ruchu oporu jako zakładników", po czym wymienia się dziesięć, dwadzieścia i więcej nazwisk. Świeże kwiaty ozdabiają te miejsca i przypominają nam, że zamordowaliśmy w ostatniej wojnie pięć milionów Polaków"... „Pytam się moich obu przyjaciół po piórze, którego autora ze świata zachodniego najbardziej cenią. Wymieniają Steinbecka i Caldwella: „Obaj są w Polsce bardzo poczytni. Mamy wiele do odrobienia" — powiedział jeden z nich. Pytam jeszcze, czy jeden z nich jest chrześcijaninem. Obaj uśmiechają się i odpierają: „Nie, tak było kiedyś. Kościół, chrześcijaństwo nas zawiodło". Nieco nieostrożnie wymknęło mi się z ust: „Czy nie sądzą panowie, że Chrystus i prawdziwy komunizm mają wiele wspólnego? Niech panowie pomyślą o pierwotnym chrześcijaństwie". „Owszem, owszem — odpowiada jeden z nich — może Chrystus, ale chrześcijaństwo i kościół nie przeszkodzili ani wyzyskowi klasy robotniczej, ani wojnie. Przeciwnie, dopomogli jeszcze do tego". Powiedziałem mu na to, że my chrześcijanie w świecie zachodnim poznaliśmy to pogaństwo wewnątrz Kościoła i że pracujemy nad czymś nowym... Musiałem pisarzowi przyznać rację, kiedy powiedział: „Wszędzie komunizm obejmuje nowe dziedziny, lecz Kościół musi kapitulować". A potem drugi pisarz wtrącił: „Przestańmy mówić na ten temat, pan nas już nie nawróci". Próbowałem tylko jeszcze raz podkreślić, że istnieje wielka różnica pomiędzy chrześcijaństwem i Chrystusem. — Niestety, wiele z tego, co wydała dobrego literatura polska w ostatnich latach, u nas jest nieznane. Godne pożałowania, że nie mamy z Polską nawet umowy kulturalnej; musimy się po prostu lepiej poznawać. Sądzę, że powinniśmy też nawiązać stosunki dyplomatyczne z krajami na Wschodzie... Do takiego porozumienia potrzeba wszakże, byśmy jasne zajęli stanowisko wobec tego, cośmy w Polsce narobili. Który uczeń i student w Niemczech wie coś o odważnym, nie mającym widoków powodzenia powstaniu, które w Warszawie w roku 1944 kosztowało życie 200 000 Polaków?"

W innym wymienia autor Lublin i Lwów, gdzie pracował i przebywał podczas ostatniej wojny, i kreśli wstrząsające obrazy prześladowania Żydów, zwłaszcza mordowanie dzieci. Wspomina też o swojej próbie ratowania żydowskiego chłopca ze wsi Kamionki — Strumiłowa, pomimo ogłoszenia: „Kto ukrywa Żyda..., zostanie przez sąd doraźny rozstrzelany". Ale dodaje uczciwie, że jest współwinien temu, że chłopiec ów już nie żyje. „Widziałem krzywdę, ale nie protestowałem. Nie byłem jeszcze chrześcijaninem".

Rozdział o Polsce kończy autor słowami: „Odpuść nam nasze winy..." W ostatnich latach rzadko mówiłem o tych straszliwych rzeczach, bo mnie dreszcz przejmuje. W swojej pracy kościelnej opowiadałem o tym np. w grupach młodzieżowych, bo moje pokolenie nie zdobywa się na odwagę, by młodym ludziom powiedzieć prawdę o tych rzeczach. Chciałbym, abyśmy w swoim zachodnio-niemieckim, sytym myśleniu byli tak kultywowani, duchowo i duchownie przyjemni, jak ci ludzie, nasi przyjaciele, Polacy".

O. K

OFIARA ZIMNEJ WOJNY

Pismo nasze jest pismem religijnym i dlatego nie zajmujemy się wielkimi sprawami tego świata, nie zajmujemy się polityką, chyba że w grę wchodzi aspekt moralny. I właśnie ten aspekt nie pozwala nam pominąć milczeniem bezprzykładnego morderstwa, dokonanego na patriocie narodu kongijskiego PATRICE LUMUMBIE i jego dwóch towarzyszach.

Nazwisko pierwszego premiera narodu kongijskiego Lumumby od szeregu miesięcy nie schodzi ze szpalt prasy całego świata, zna je każdy niemal człowiek na kuli ziemskiej, każde dziecko. Skąd to zainteresowanie, skąd ten szacunek dla czarnego człowieka z czarnego lądu? Bo Lumumba od samego początku swojej działalności jest symbolem tęsknot i pragnień milionów ludzi, takich samych jak my wszyscy, kochający swoją ziemię ojczystą, swoje dzieci i żony, jest symbolem wolności wszystkich, dziś jeszcze ciemiężonych przez państwa kolonialne narodów.

O co walczył? Oto jego własne słowa: „Stwórca dał nam ten kawał ziemi jakim jest kontynent afrykański: do nas ona należy i my jesteśmy jej jedynymi gospodarzami. Jest naszym prawem uczynić ten kontynent — kontynentem sprawiedliwości, prawa i pokoju"... „Zachód winien zrobić dziś rachunek sumienia i przyznać wszystkim terytoriom kolonialnym prawo do wolności i godności. Jeśli rządy państw kolonialnych... będą uważać uparcie Afrykę za swoją własność, to będziemy zmuszeni uznać kolonizatorów za wrogów naszej emancypacji. W tych warunkach z żalem wypowiemy im naszą przyjaźń... Ludzie Zachodu winni zrozumieć, że przyjaźń nie jest możliwa w stosunkach poddaństwa i zależności..."

Te słowa Lumumby wyjaśniają wszystko. Także i to, że padł on ofiarą sprzysiężenia sił wstecznych, pragnących przemocą odwrócić bieg koła historii, który zmierza ku wolności wszystkich ludzi. Odpowiedzialność za okrutny mord na człowieku tak bardzo potrzebnym narodowi kongijskiemu, ponoszą, jak słusznie podkreśla opinia światowa, nie tylko bezpośredni jego sprawcy, ale przede wszystkim mocarstwa kolonialne i przykro to stwierdzić — także ONZ, a więc ta organizacja światowa, którą sam Lumumba wezwał do Konga i która nic nie uczyniła, aby zapobiec zbrodni już dawno planowanej, nie uczyniła nic dla wolności Konga.

Jeszcze jedna ofiara zimnej wojny. Lumumba nie żyje. Ale czy można zabić wiarę i nadzieję milionów ludzi?

O Z P

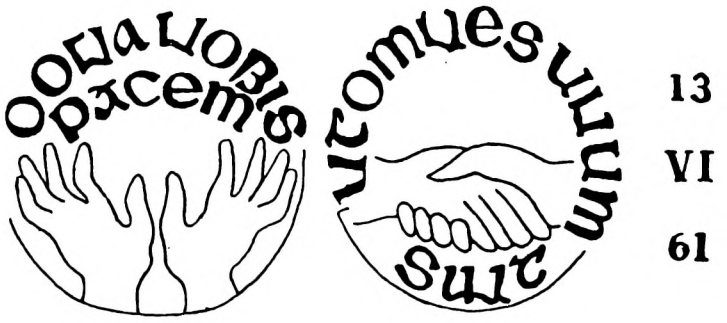

13 VI 61

NA DRODZE KU OGÓLNOCHRZEŚCIJAŃSKIEMU ZGROMADZENIU POKOJOWEMU

W dniach od 13 do 18 czerwca br. ma się odbyć w Pradze, jak już donosiliśmy, Ogólnochrześcijańskie Zgromadzenie Pokojowe. Celem przygotowania tego wielkiego zjazdu przedstawicieli Kościołów chrześcijańskich odbyły się w Pradze w dniach od 24 do 27.I. br. posiedzenia Zarządu i różnych komisji, w których wzięło udział kilkanaście osób, zaś wśród nich z Polski ks. biskup A. Wantuła i ks. rektor W. Niemczyk. W czasie narad w Pradze opracowany został szczegółowy program Zgromadzenia. Odbędzie się ono pod ogólnym hasłem „Pokój na ziemi", a otwarte i zamknięte zostanie nabożeństwami, w których mają wziąć tłumny udział wierni należący do zboru w Pradze. Wygłoszony zostanie jeden główny referat (prof. J. Hromadka) oraz pięć koreferatów. Referaty te będą przedmiotem dyskusji w 10 grupach dyskusyjnych, które będą rozpatrywać je pod szczególnymi punktami widzenia. Główny referat był w Pradze przedmiotem dyskusji na komisji teologicznej. Przy wyborze referentów kierowano się m.in. względami geograficznymi. Rezultat dyskusji zostanie przekazany osobnemu wydziałowi, który na tej podstawie opracuje orędzie i przedłoży plenum Zgromadzenia projekty uchwał. Na zjazd do Pragi zaproszonych będzie ok. 600 delegatów Kościołów ze wszystkich krajów świata, jak również światowe organizacje międzykościelne. W związku z przygotowaniem Zgromadzenia wybiorą się w podróż do różnych krajów przedstawiciele zarządu i komisji, które organizują Zjazd czerwcowy. W czasie narad w Pradze uchwalono też budżet Zgromadzenia, na który złożą się datki Kościołów z różnych krajów, szczególnie jednak z krajów demokracji ludowych. Celem ostatecznego ustalenia dalszych szczegółów odbędą się jeszcze przed Zjazdem narady różnych komisji: w marcu na Węgrzech, a w kwietniu w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Obrady praskie wykazały, iż perspektywy dla Ogólnochrześcijańskiego Zgromadzenia Pokojowego wydają się być pomyślne. W.

Wspomnienie o Lwie Tołstoju

Cała ludzkość w pełnym tego słowa znaczeniu — obchodziła 50-lecie śmierci największego pisarza i humanisty rosyjskiego — Lwa Tołstoja.

50 lat temu, 7 listopada 1910 r. na małej stacji kolejowej Astapowo, Lew Tołstoj uciekł, w znaczeniu dosłownym, od świata pełnego zła, którego nie mógł zwalczyć. Patrząc na osobowość wielkiego pisarza z perspektywy ostatniego półwiecza, dochodzi się do wniosków paradoksalnych i sprzecznych. Jeszcze raz potwierdza się stara teza głosząca, że „o ile ludzie wielcy są niezrozumiali, to geniusze są wprost nieodgadnięci". W postępowaniu autora „Zmartwychwstania", w jego wypowiedziach często sprzecznych ze sobą łatwo odkryć tą niezrozumiałość. Przyczyny tego są różne.

Jedną i bodaj najistotniejszą, jest stosunek Lwa Tołstoja do Boga i wiary. Wielki moralista i jak go nazywano — ewangelista ludowy, był niewątpliwie człowiekiem głęboko wierzącym i religijnym. Ale jego religijność była niesamowita. Tołstoj szamotał się między skrajnym buddyzmem i wprost apostolskim chrześcijanizmem nierzadko wpadając w dziwactwa, co wcale nie przeszkadzało mu rozczytywać się z uwielbieniem w dziełach wielkich wolnomyślicieli i ateistów francuskich i chwalić ich za jasność myśli. Stosunkowo najbardziej wrogo nastawiony był do prawosławia.

Jego poglądy filozoficzne, ten tzw. „tołstoizm" to mieszanina Ewangelii, Buddy, Rousseau i Henry George'a. Tołstoj był zwolennikiem Ewangelii na codzień, Ewangelii stosowanej w codziennym życiu społeczeństwa. Domagał się traktowania wszystkich jak braci, ba — pod koniec życia doszedł do takiego dziwactwa, że do lasu chodził boso, a to w tym celu, aby... nie gnieść mrówek, poruszających się wśród źdźbeł trawy i chrustu. W głoszeniu swoich poglądów był konsekwentny, a nie mogąc znieść atmosfery salonów arystokratów przeniósł się do Jasnej Polany, gdzie chciał w czyn wprowadzać swoje idee. Ubrany w strój chłopski, przeważnie boso, prowadził rozmowy z wieśniakami. Kazał im ścinać drzewa w lesie, który był jego własnością. Chłopi początkowo nie wierzyli, że dziedzic uważa swoje dobra za dobra wspólne, z których im także darmo wolno korzystać.

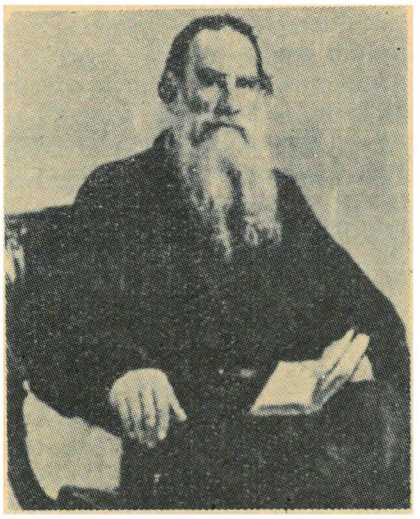

Rozczarowanie nastąpiło szybko — na skraju lasu służba najęta przez żonę Tołstoja odbierała drzewo i dawała naiwnym dobrą nauczkę. Takie postępowanie żony Tołstoja i wszystkich dzieci z wyjątkiem jednej ukochanej córki, która przejęła poglądy ojca, doprowadzało autora „Anny Kareniny" do rozpaczy i bezsilnej wściekłości.

Tołstoj stał się zagorzałym antyfeministą („Kobieta jest ostoją konserwatyzmu", „Kobiety są zadziwiająco podobne do ludzi, ale niezupełnie"...) i jak prawie wszystkie inne poglądy mniemał często, tak głosił do końca życia budząc oburzenie swą brutalnością i pogardą dla kobiet. Również bezkompromisowy, był Lew Tołstoj w sprzeciwie, który wbrew pogróżkom i klątwom rzucał w twarz caratowi i cerkwi.

Tołstoj chciał cierpieć za swoje poglądy, jego osobowość tego się domagała. Został wyklęty przez duchowieństwo prawosławne, źle patrzono na niego z Petersburga (po audiencji udzielonej żonie wielkiego pisarza na dworze carskim, wrogość ustąpiła miejsca pobłażliwości dla jego dziwactw). Nie było to jednak to, czego pragnął. Gdy zetknął się z Korolenką, powiedział do niego zawiedziony: „Z pana to szczęśliwy człowiek. Pan oto był w Syberii w więzieniach, na zesłaniu. Ja, ile nie proszę Boga, by pozwolił mi pocierpieć za moje przekonania — nie, nie daje mi tego szczęścia". Tołstojowi zbrzydł arystokratyczny świat dumy i próżności, uciekł do Jasnej Polany szukać pokory i izolacji. Wyzwał na pojedynek carat i prawosławie, doczekał się tylko klątwy. Zawiedziony w nadziejach cierpiętnik zaczął buntować się przeciw Bogu. Charakterystyczna jest wypowiedź Maksyma Gorkiego, który w tym czasie odwiedził Tołstoja. „Jego stosunki z Bogiem są dość nieokreślone" — pisał Gorki — „ale czasami przypominają mi one stosunki dwóch niedźwiedzi w jednym legowisku". Jeszcze ciekawsza jest wypowiedź Gorkiego odnosząca się do okresu cierpiętnictwa „Tołstoja" — „Pocierpieć — to też jego prawda... Męczeństwo prawdopodobnie, może trochę usprawiedliwić śmierć, czy ja wiem, uczynić ją bardziej zrozumiałą, do przyjęcia...", „O buddyźmie i Chrystusie mówi zawsze sentymentalnie...".

Trzeba pamiętać, że Tołstoj miał wiele zuchwałych wypowiedzi, nieraz diametralnie różnych chociaż odnosiły się do tego samego faktu czy osoby i tym należy chyba tłumaczyć oddźwiek jaki wzbudziły u Gorkiego. Zresztą autor „Wojny i pokoju" chociaż nie chciał rozmówcy rozczarować, to jednak często go drażnił, a czasem nawet rugał.

Charakterystyczna i zarazem bardzo ważna dla ludzi chcących poznać hasła prawdziwej sztuki głoszone przez Tołstoja jest jego wypowiedź skierowana do rzeźbiarza Gincburga:

„...ja rzeźbiarzy nie lubię, a nie lubię ich dlatego, że przynieśli dużo szkody sztuce i ludziom; zajmują się tym, co szkodliwe. Poustawiali w całej Europie pełno pomników, monumentów chwały ludzi, którzy tego nie byli godni, a dla ludzkości wręcz szkodliwi. Wszyscy ci wodzowie, wojowie, władcy, wyrządzali ludowi tylko zło, a rzeźbiarze opiewali ich jako dobroczyńców. Ale najważniejsza nieprawda polega na tym, że uwieczniając ich, rzeźbiarze przedstawiali wielu z nich nie tak jak naprawdę wyglądali. Ludzi słabych zdegenerowanych i tchórzliwych przedstawiali zawsze jako bohaterów, silnych i wielkich; człowieka niskiego wzrostu, rachitycznego, wyobrażali jako mocarza z potężną piersią i bystrym wzrokiem — wszystko łgarstwo i nieprawda. Rzeźbiarze byli zawsze na utrzymaniu u silnych tego świata i dogadzali im. Takiej hańby i w takim stopniu nie widzimy w żadnej dziedzinie sztuki". Tołstoj znał wartość swej twórczości, wiedział ile warte są jego dzieła, jednak nie przyjął proponowanej mu nagrody Nobla. W liście (1856 r.) pisał — „...skoro się już raz wzięło za literaturę, to nie można tym się bawić, lecz musi się oddać całe swoje życie".

Tołstoj z wielką dociekliwością studiował ciekawsze charaktery ludzi, podpatrywał ich w różnych sytuacjach i wżywał się w ich psychikę (może tym należy tłumaczyć głoszenie diametralnie różnych poglądów?).

Potrafił rozmawiać językiem wykwintnym i prostym, twardym i wręcz wulgarnym zależnie od tego z kim prowadził dysputę. Charakterystyczna jest wypowiedź Gorkiego o rozmowie z Tołstojem: „Z normalnego punktu widzenia jego mowa była łańcuchem „nieprzyzwoitych" słów. Byłem tym zmieszany i nawet obrażony, wydawało mi się, że nie uważa mnie za zdolnego do zrozumienia innego języka...". W stosunku do Polaków, Tołstoj był bardzo serdeczny, znał polski język, wysoko cenił Sienkiewicza (co nie przeszkodziło mu w drugocący sposób skrytykować „Krzyżaków").

„W dzieciństwie wszczepiano we mnie nienawiść do Polaków — mówił często. — I teraz odnoszę się do nich ze szczególną czułością, wypłacam im się za dawną nienawiść". — i dodawał — „Już za jedno można Polaków pokochać, że mieli Chopina!". Lew Tołstoj miotany różnymi sprzecznościami, nigdy nie zaznał odpocznienia i spokoju. Gorki pisze, że „...dobrze nie było mu nigdy, nigdy i nigdzie, jestem pewny: ani w „skęgach przemądrych" ani „na końskim grzbiecie", ...nie doświadczył nigdy całkowicie „ziemskiego raju". Jest na to zbyt krytyczny i nazbyt zna życie i ludzi".

Również i w Jasnej Polanie poczęło mu być duszno. Krępowany przez zapobiegliwość o majątek żony i dzieci postanawia stamtąd uciec. 29 października 1910 r. pisze ostatni list do żony; w nocy wraz z ukochaną córką wymykają się z dworku aby uciec od ludzi. W pociągu Tołstoj zostaje rozpoznany przez podróżnych, którzy udzielają mu pierwszej pomocy gdy zasłabł. Złożony w domu zawiadowcy stacji Astapowo odprawia księży i lekarzy. Jest tylko sam z córką. Za domem czeka żona. Po 10 dniach od wymknięcia się z Jasnej Polany następuje ostatni akt ucieczki... Przeglądając twórczość Tołstoja, w każdym jego dziele znaleźć można cząstkę osobowości autora.

Bohaterem najbardziej jednak wzorowanym na Tołstoju jest sędzia Gołowin w „Śmierci Iwana Ilijcza". W dziele tym, w mistrzowsko ujętej formie, splata się bezsens życia z bezsensem buntu wobec śmierci, dramat okrutny człowieka, który doszedł do wniosku, że wszystko do czego przywiązywał wagę było puste i długie cierpienie w samotności. W utworze tym, skupiły się wszystkie najistotniejsze i najwartościowsze cechy talentu Lwa Tołstoja — wielkość, szlachetność i humanizm.

JANUSZ OKSZA

Jerzy Sliziński

Odnalezienie archiwum Jednoty Braci Czeskich z Leszna

Jednym z najbogatszych archiwów dotyczących reformacji w Polsce jest Archiwum Jednoty Braci Czeskich z Leszna Wlkp. Tuż przed wyzwoleniem miasta przez Armię Radziecką w 1945 r. archiwum to wywiezione zostało przez ówczesnego niemieckiego pastora kościoła św. Jana, Wolfganga Bickericha w nieznanym kierunku na zachód, a wszelkie poszukiwania do roku ubiegłego nie dawały żadnego rezultatu.

Archiwum to udało mi się odnaleźć w czerwcu ub. r. w Herrnhucie, miasteczku na Górnych Łużycach, w Archiwum Unitatis Fratrum.

Z niezwykłą uprzejmością udostępnił mi archiwum leszneńskie archiwariusz herrnhucki, p. Träger. Znając dokładnie inwentarz tego archiwum z r. 1881, znajdujący się w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Poznaniu, mogłem stwierdzić, że archiwum Jednoty Braci Czeskich zachowało się w całości. Zachowały się więc materiały o charakterze ogólnym, wśród których są rękopisy w języku polskim od XVI do XVII w., dotyczące położenia dysydentów w Polsce, pisma polemiczne i supliki, diariusze sejmików i sejmów, akta dotyczące synodów dysydenckich w Polsce z lat 1595—1778, akta, dotyczące poszczególnych kościołów, księży i rodzin dysydenckich w Wielkopolsce, akta dotyczące kościołów na Pomorzu Gdańskim i w Prusach Książęcych, liczne bohemica, hungarica i silesiaca. Znajduje się tam bowiem korespondencja Jabłońskiego, Cassiuszów oraz korespondencja J. A. Komenskiego, wykorzystana już przez

Kvačalę. Zachował się również bezcenny rękopis niewydanego dotąd fragmentu dzieła twórcy nowoczesnej pedagogiki pt. Clamores Eliae, dzieło dla nas Polaków szczególnie ważne, gdyż zawiera rozdział Evigilia Polonia.

W paczce, (sporządzonej już w Herrnhucie) z napisem „Brife u. Akten verschiedener Herkunft, bzw. 1945 durcheinander geraten" znalazłem rękopis konceptu nieznanego dotąd kazania Komenskiego, wygłoszonego na synodzie w Lesznie w dniu 19 kwietnia 1644 r. z okazji święcenia Jana Bythnera na conseniora Jednoty.

Z Leszna pochodzą również liczne starodruki (głównie comeniana) oraz sprzęt liturgiczny — m. in. wyjątkowo piękny kielich, który według tradycji używany był przez Jana Husa.

Na moje zapytanie, jak kierownictwo Archiwum Unitatis Fratrum w Herrnhucie ustosunkowałoby się do mojego wniosku o rewindykację archiwum leszneńskiego, oświadczył p. Träger, że Archiwum Jednoty Braci Czeskich traktuje się w Herrnhucie wyłącznie jako depozyt i jest ono przechowywane w oddzielnych szafach z osobnym inwentarzem, że gotowi są w każdej chwili zwrócić całość prawowitemu właścicielowi w drodze oficjalnej. Prosił mnie jednak, żebym w tej sprawie przeprowadził jeszcze rozmowę z „Vorsteherem" Gminy Herrnhuckiej.

Rozmowa ta, przy której „Vorsteher" wyraził identyczny pogląd, miała miejsce dnia następnego.

Natychmiast po moim powrocie do Polski złożyłem wniosek o rewindykację tego bezcennego archiwum. Spodziewać się więc należy, że wkrótce już niezwykle cenne te rękopisy, starodruki i sprzęt liturgiczny znajdą się ponownie w Polsce.

Z żałobnej karty

Śp. Ks. Ernest Oborny

W święto Epifanii odszedł od nas pierwszy z powojennego grona księży naszego Kościoła, po zaledwie 9 latach pracy w Winnicy Pańskiej — ks. Ernest Oborny.

Ks. Oborny urodził się 15 marca 1924 r. w Brzozówce na Śląsku Cieszyńskim. Do szkoły podstawowej oraz do gimnazjum uczęszczał w Skoczowie. W 1947 r. wstąpił na Wydział Teologii Uniwersytetu Warszawskiego, który ukończył w 1951 r. Już podczas ostatniego roku studiów pełnił obowiązki duszpasterskie w Toruniu i Kaliszu. W dniu 20 stycznia 1952 r. ordynowany został wraz z 4 innymi kolegami na wikariusza parafii Opole, Krapkowice oraz szeregu mniejszych zborów ziemi opolskiej, i w tych parafiach pracował potem jako administrator do końca swego krótkiego życia.

Ks. Ernest Oborny już jako młody chłopiec pragnął się poświęcić służbie Swego Pana. Nie odwiodły go od tego ani tragiczne wypadki wojenne ani też późniejsza choroba nerek, której się w czasie wojny nabawił. I chociaż w czasie studiów prawie rok czasu spędził w szpitalu względnie w łóżku, nie załamał się, ale tym wytrwalej się uczył, aby jak najszybciej dobrnąć do upragnionego celu. Nigdy jednak nie dał nam tego odczuć, jak bardzo cierpiał.

Jego szczerość i prostolinijność, bezpośredność w obcowaniu z ludźmi, potrafiły Mu zaskarbić nie tylko sympatię kolegów, ale i serca swoich parafian, gdziekolwiek przebywał. Mimo uciążliwych warunków pracy — do wielu zborów dojeżdżał na rowerze — nie chciał nawet słyszeć o przeniesieniu na spokojniejszą placówkę, o rozstaniu się ze swoimi ukochanymi opolanami. Ale ta niezwykła gorliwość w pracy odbiła się też ujemnie na wynikach leczenia. Zdawał sobie sprawę, że kilkumiesięczna kuracja specjalistyczna w Szwajcarii w r. 1959 zaleczyła tylko jego chorobę, ale nie wyleczyła. Kazano mu przyjechać ponownie po 2 latach, ale tego niestety już nie doczekał. Nie oszczędzał się jednak, pracował jak dawniej, aż do kresu swych sił. Mimo wielkiego bólu, sprzeciwu i próśb ze strony najbliższych nie chciał zostawić swych zborników bez możliwości słuchania słowa Bożego i odprawiał jeszcze nabożeństwa w ub. okresie świątecznym.

We wtorek poświąteczny przyjęty został do szpitala w Opolu — lecz niestety zawieziono Go tam za późno. Lekarze orzekli, że organizm zatruty niewydolnością nerek nie reaguje już na żadne ich poczynania. W poniedziałek po Nowym Roku przyjął jeszcze po raz ostatni Komunię Św. z rąk swego Seniora, a we wtorek wieczór przewieziony został na swoją prośbę do domu na plebanię w Krapkowicach, gdzie w piątek o godz. 10.00 zakończył swe życie. Śp. Ks. Oborny pozostawił żonę Krystynę z d. Maj oraz troje dzieci w wieku 7, 5 i 3 lat.

W poniedziałek żegnali go w kościele w Krapkowicach jego umiłowani zborownicy. Zgodnie z wolą zmarłego eksportowano zwłoki do rodzinnego Skoczowa. Tutaj w wypełnionym po brzegi kościele i przy udziale 43 duchownych z NPW Ks biskupem A. Wantułą na czele odbyło się uroczyste nabożeństwo, po którym odprowadzono wiernego sługę Pańskiego na miejscowy cmentarz. „Nie bój się, bom cię odkupił, a wezwałem cię imieniem twoim, tyś jest mój".

Ks. J. Gryniakow

Z KRAJU i ze ŚWIATA

Egzekutywa L.F.Ś. obradować będzie w Polsce

Dnia 5 stycznia b. r. odbyło się w lokalu Konsystorza Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Warszawie posiedzenie Polskiego Oddziału Luterańskiej Federacji Światowej, na którym przewodniczący Ks. bp dr Andrzej Wantuła zakomunikował, że Komitet Wykonawczy Luteranskiej Federacji Światowej obradować będzie w Warszawie w dniach od 27 czerwca do 1 lipca 1961 r. Na obrady zaproszeni też zostaną delegaci Kościołów luterańskich Europy środkowej. Liczba uczestników, w tym najwyższych przedstawicieli luteranizmu światowego, będzie wynosiła około 70. Będą oni gośćmi Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w P.R.L.

Celem przygotowania tej ważnej konferencji wyłoniono kilkuosobowy Komitet Roboczy, który niebawem przystąpi do pracy.

Po zakończonej konferencji uczestnicy odwiedzą najważniejsze ośrodki parafialne, w szczególności Śląsk Cieszyński, gdzie wezmą udział w kilku uroczystościach kościelnych.

Nieprawdziwe pogłoski

Doniesienia niektórych dzienników światowych o mającej nastąpić wizycie sekretarza generalnego Światowej Rady Kościołów Dr Visser't Hooft'a u papieża są najzupełniej bezpodstawne — oświadczył przedstawiciel Rady w Genewie.

Dr. Visser't Hooft zatrzymał się w dniu 3 grudnia w Rzymie, w drodze na ekumeniczną konferencję w sprawach rasowych w Johannesburgu, było to 1 dzień po wizycie Dr Fishera u papieża.

Ten zbieg okoliczności dał prasie zapewne asump do puszczenia w świat niesprawdzonej wiadomości. Centrala w Genewie stwierdziła, że wizyta taka nie jest przewidziana.

Odnalezienie cennych zbiorów pieśni ludowych

Profesor Uniwersytetu Wrocławskiego dr Bogdan Zakrzewski dokonał niedawno odkrycia cennych rękopisów Józefa Lompy i Ks. Roberta Fiedlera. Zawierają one teksty i melodie kilkuset nie publikowanych dotychczas pieśni ludowych z Górnego i Dolnego Śląska.

Rękopisy te znajdowały się w zbiorach znanego kolekcjonera pieśni i podań ludowych — Edmunda Bojanowskiego, żyjącego w latach 1814—1871. Stanowią one pierwszy poważniejszy zbiór pieśni polskich z całego Śląska, spisanych ponad 100 lat temu.

Większość odnalezionych pieśni pochodzi z Górnego Śląska i została zebrana przez Józefa Lompę (zbiór ten uważany był przez historyków literatury za zaginiony). **Natomiast zbiorek dolnośląski Ks. Roberta Fiedlera — pastora z Międzyborza, obejmujący pieśni z okolic Sycowa i Namysłowa,** mimo iż jest dość szczupły, to jednak przedstawia bardzo dużą wartość ze względu na niewielką ilość znanych nam dotychczas dawnych polskich pieśni ludowych. Jest on również dowodem ciągłości i żywotności kultury polskiej na tych ziemiach, w której ewangelicy polscy mają swój niemały udział.

Praktyczna ekumenia w Bredzie

Wzorem ubiegłych lat odbył się przy wielkim udziale mieszanej wyznaniowo ludności holenderskiego miasta Bredy wspólny ewangelicko-katolicki wieczór adwentowy, podczas którego pod gołym niebem wystąpiły chóry tamtejszych parafii ewangelicko-reformowanych i katolickich. Przemawiali też duchowni z obu kościołów.

Następca bp. Dibeliusa

Synod Ewangelickiego Kościoła Niemiec (EKD), który obradował w drugiej połowie lutego w Berlinie, wybrał na miejsce biskupa Dibeliusa, który ukończył 80 lat, **Dr Karela Scharfa** biskupa wschodnioberlińskiego głową Kościoła Ewangelickiego dla obu państw niemieckich. Wybór ten stanowi pewnego rodzaju niespodziankę, gdyż zachodnioniemieckie koła kościelne forsowały kandydaturę biskupa Liljego, jako bardziej „niezłomnego". Zwyciężyły raczej tendencje umiarkowane, których uosobieniem jest wybrany Dr Scharf. Bp. Lilje będzie jego zastępcą.

Społeczeństwo ewangelickie w Polsce przyjmuje bez żalu do wiadomości odejście Dr Dibeliusa. Przez całe życie nigdy nie ukrywał swej niechęci do wszystkiego co polskie, także i do polskiego ewangelicyzmu. W swoim kraju, szczególnie w ostatnich latach, był uosobieniem sił zimnowojennych w Kościele niemieckim.

Odkrycie grobu św. Metodego

W wyniku szeregu poszukiwań wykopaliskowych w miejscowości Stare Mesto (okolice Brna w Czechosłowacji) archeologowie stwierdzili, że odkryte tam umocnione osiedle z IX stulecia jest znaną z przekazów historycznych stolicą państwa Wielkomorawskiego. Największą niespodziankę stanowiło jednak wykrycie we wnętrzu kamiennego kościoła grobu ze szkieletem bardzo wysokiego mężczyzny.

Położenie grobu i szkieletu wskazuje — zdaniem archeologów — bez najmniejszych wątpliwości, że pochowany tu został św. Metody, słynny apostoł Słowiańszczyzny, który umarł w r. 886 w stolicy Wielkich Moraw.

1000-letnia księga

Bezcenny zabytek, tzw. „Księga z Kells", wystawiony został na widok publiczny w Królewskiej Akademii Nauk w Londynie. Jest to jedna z najstarszych ksiąg świata, gdyż liczy sobie przeszło 1000 lat. Została odnaleziona 125 lat temu przez irlandzkiego mnicha w klasztorze Kells. Ma ona 128 przepięknie ilustrowanych stron o treści religijnej. Przechowywana jest w Dublinie (Irlandia) w Kolegium Trójcy Najświętszej. W czasie przewiezienia księgi do Londynu pilnowało jej dwóch detektywów ze Scotland Yard. Ubezpieczono ją na ten okres na sumę 1 miliona funtów angielskich.

Wyznania chrześcijańskie w USA

Najnowsza statystyka wykazuje na koniec roku 1959 że w Stanach Zjednoczonych jest 112.226.905 chrześcijan różnych wyznań, co oznacza w porównaniu z 1958 r. **wzrost o 2,4%** Kościół rzymsko-katolicki liczy 40 mil. wiernych (wzrost w ciągu roku o 3.4%), zaś Kościoły protestanckie podają liczbę 62,5 mil. wiernych (wzrost o 1,7%). Pozostają oni nieco w tyle za wzrostem ludności Stanów Zjednoczonych, który wynosi 1,8%. Większy przyrost ludności katolickiej tłumaczy się powszechnie znanym większym przyrostem naturalnym u katolików, mającym swe źródło m. inn. w zaprzągnięciu konfesjonału do propagandy wielodzietności.

KRONIKA STOŁECZNA

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

Parafia Ewangel.-Augsb. św. Trójcy
Plac Małachowskiego 1

12.III.61. (Niedz. Laetare)
godz. 11 — naboż. z Kom. św.— **Ks. Zygmunt Michelis**
godz. 10,45 — spowiedź

17.III.61. (piątek)
godz. 18 — naboż. pasyjne — **Ks. Ryszard Trenkler**

19.III.61. (Niedz. Judica)
godz. 11 — naboż. z Kom. św.— **Ks. Ryszard Trenkler**
godz. 10,45 — spowiedź

24.III.61. (piątek)
godz. 18 — naboż. pasyjne — **Ks. Zygmunt Michelis**

26.III.61 (Niedz. Palmowa)
godz. 11 — naboż. z Kom. św.— **Ks. Zygmut Michelis**
godz. 10,45 — spowiedź

30.III.61. (Wielki Czwartek)
godz. 18 — naboż. komunijne — **Ks. Mieczysław Rueger**

31.III.61. (Wielki Piątek)
godz. 9 — naboż. komunijne — **Ks. Zygmunt Michelis**
godz. 17 — naboż. nieszporne — **Ks. Ryszard Trenkler**
godz. 18,30 — naboż. komunijne — **Ks. Ryszard Trenkler**

1.IV.61. (Wielka Sobota)
godz. 9 — naboż. komunijne — **Ks. Otton Krenz**

2.IV.61. (I Święto Wielkanocne)
godz. 11 — naboż. z Kom. św.— **Ks. Ryszard Trenkler**
godz. 10,45 — spowiedź

3.IV.61. (II Święto Wielkanocne)
godz. 11 — naboż. z Kom. św.- **Ks. Zygmunt Michelis.**
godz. 10,45 — spowiedź

Parafia Ewang.-Reformowana
ul. Świerczewskiego 76

12.III.61. (Niedz. Laetare)
godz. 11 — naboż. z Kom. św. — **Ks. Zdzisław Grzybek**

19.III.61. (Niedz. Judica)
godz. 11 — nabożeństwo — **Ks. Jan Niewieczerzał**

26.III.61. (Niedz. Palmowa)
godz. 11 — nabożeństwo — **Ks. Zdzisław Grzybek**

31.III.61. (Wielki Piątek)
godz. 17 — naboż. z Kom. św. — **Ks. Jan Niewieczerzał**

2.IV.61. (I Święto Wielkanocne)
godz. 11 — nabożeństwo — **Ks. Jan Niewieczerzał**

3.IV.61. (II Święto Wielkanocne)
godz. 11 — naboż. z Kom. św. — **Ks. Zdzisław Grzybek**

Uwaga. W każdy wtorek odbywają się w Kaplicy wieczorne nabożeństwa pasyjne o godz. 18.

NOWO POWSTAJĄCE

Archiwum i Muzeum Diecezjalne
Ewangelicko-Augsburskiej
Diecezji Mazurskiej

poszukuje

MATERIAŁY ARCHIWALNE

jak starodruki, wydawnictwa, prasę, dokumenty i zdjęcia, związane z życiem religijnym na terenie Warmii i Mazur na przestrzeni wieków.

Zgłoszenia: Ks. Jerzy Otello, Nidzica, ul. Zamkowa 9.

WYDAWCA: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Świerczewskiego 76a, tel. 31-23-83
REDAGUJE KOLEGIUM: Redaktor Naczelny — Ks. Jan Niewieczerzał
Z-ca Red. Nacz. Ks. Ryszard Trenkler
PRENUMERATA: rocznie 48 zł, półrocznie 24 zł, kwartalnie 12 zł,
numer pojedyńczy 4 zł.
Konto PKO Warszawa — 153-7-905-005
Do nabycia również we wszystkich placówkach Kościoła

Zakł. Graf. RSW „Prasa", W-wa, Smolna 12. Z. 351. S-49.